Nr. 26. Lwów, Niedziela dnia 24. Lutego 1878 r. Tom VI.



ROK V.

PRENUMERATA we LWOWIE
Rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCYI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr. 40 cnt.
W Krakowie skład główny w Księgarni S. A. Krzyżanowskiego.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA:
KSIĘGARNIA POLSKA.
l. 14 plac halicki.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni J. K. Żupańskiego w POZNANIU. PRENUMERATA w POZNANIU: Kwartalnie 7 m. z przesyłką 8 m. 50 f.
We Francyi, Anglii, Ameryce itd. kwartalnie 10 franków.
We Francyi prenumeratę i ogłoszenia przyjmuje wyłącznie ajencya Havas, Laffite et comp. 8. place de la Bourse.

PATRYOTYZM A TROMTADRACYA.

Wyraz tromtadracya urodził się przed laty dziesięciu na bruku lwowskim. Przeznaczony z początku do scharakteryzowania pewnych objawów czysto lwowskiego życia, stał się potem nazwą rodzajową, nie przywiązaną do miejscowości.

Każdy, co mieszka we Lwowie, lub śledzi życie lwowskie od lat dziesięciu, zna dobrze znaczenie tego wyrazu. Ale mniej obeznani z historyą Lwowa w ostatnich latach mogą nie mieć dość jasnego pojęcia o tem. Mogą nie mieć, tem bardziej gdy słyszą skargi gdzieniegdzie się podnoszące, że wyraz tromtadracya wynaleziony został jako pogardliwe miano dla patryotycznego kierunku w rozmaitych sferach życia.

Jest więc potrzeba dokładnego określenia tromtadracyi. Dokładne to określenie przeciągnie wyraźną granicę pomiędzy tromtadracyą a patryotyzmem, który pojmowany jak należy, nie ma nic z nią wspólnego.

Przed laty dziesięciu rozbudzone życie polityczne powołało do publicystycznej i w ogóle publicznej działalności wielu ludzi, wcale do tego nieprzygotowanych. Zdawało się tym ludziom mniej więcej to samo, co się zdaje nie raz bardzo małym dzieciom, gdy patrzą na osoby starsze, grające na fortepianie: i oneby potrafiły to samo, byle je puszczono do fortepianu; będą bębnić po klawiszach, a muzyka sama się złoży. Otóż i ci ludzie, zająwszy nagle stanowiska trybunów, mowców, publicystów, prezesów i członków przeróżnych stowarzyszeń, byli pewni, że wywiążą się ze swego zadania, jeżeli bez zająknięcia się będą prawić i rozprawiać o wszystkiem, cokolwiek się nastręczy, nie krępując się wcale nieznajomością przedmiotu. I owszem, im kto mniej umiał, tem swobodniej rozprawiał, bo tem mniej wiedział, ile mu brakuje do tego, by mógł roztrząsać i wyrokować w jakiejś kwestyi.

Był to czas, kiedy wychodziły dzienniczki, dla których elementarne pojęcia z gramatyki, geografii, historyi nie istniały; kiedy wstępne artykuły pisały się na wzór „Chaotycznej komplikacyi“ z Radców pana Radcy Bałuckiego; kiedy wydawano pisma poświęcone „sadownictwu, pszczelnictwu, sztukom pięknym i tym podobnym;“ kiedy występowali mowcy polityczni z sążnistemi mowami, z których, po odwianiu słów, nie zostawało ani ziarnka treści; kiedy w teatrze z zimną krwią wprowadzano na scenę sztuki, których niedorzeczność mogłaby się ubiegać o pierwszą nagrodę na odpowiednim konkursie, a artystom polecano, aby byli „mniej sentymentalni, a więcej liryczni,“ czy też odwrotnie; kiedy zakładały się towarzystwa na to tylko, aby po obraniu prezesa, wiceprezesa, sekretarza i wydziału skonać zaraz bez spowiedzi i bez pogrzebu. Możnaby tych „kiedy“ jeszcze więcej naliczyć, ale zdaje się, że dotychczasowa ich liczba wystarczy do scharakteryzowania tromtadracyi.

Tem to imieniem ochrzczono wszystkie powyższe objawy. Wszystkie te objawy miały to wspólnego z sobą, że gruntowna ignorancya łączyła się w nich z najlepszem rozumieniem o sobie. Co się tyczy samej nazwy, to starała się ona uzmysłowić próżny brzęk słów, hałas, krzykactwo, jako zewnętrzną cechę powyższych objawów.

Najwięcej szkodziła tromtadracya kierunkowi demokratycznemu i narodowemu, przybierała bowiem zwykle ich kolory. Nie można utrzymywać, żeby wszystko, co się wówczas działo, było tylko komedyą patryotyczno-demokratyczną, ale choć były szczere dobre chęci, to w cieniu panującej ignorancyi i zarozumiałości nie wiele mogły przynieść owoców, a nieraz i owszem, prowadziły tylko do ośmieszenia demokracyi i patryotyzmu. Juścić jeżeli organ, nazywający się demokratycznym, pisał „o białych murzynach w okolicy Paraguayu,“ to ta jego erudycya nie mogła iść na pożytek demokracyi; jeżeli jakiś mowca w długiej przemowie naszpikowanej patryotycznymi frazesami mechanicznie połączył tysiąc komunałów bez myśli, ładu, składu i gramatyki, to krasomowstwo jego prędzej do wszystkiego mogło służyć, niżeli do rozbudzenia uczuć patryotycznych.

Gdy porównywamy teraźniejszość naszą, specyalnie lwowską, z tą niedawną przeszłością, to w istocie pocieszający przedstawia się nam widok. Tromtadracya w dawnej swojej formie znikła z bruku lwowskiego, jak śnieg marcowy, a to, co istotnie dobrego powstało w epoce tromtadratycznej, np. Towarzystwo pedagogiczne, „Gwiazda“, „Sokół“, to się przechowało i rozwija dalej. W dziennikarstwie zapanował ton przyzwoitszy, a choć błądzi w niem jeszcze dużo „chaotycznej komplikacyi efemerycznych zjawisk“, to jednak wogóle daleko mniej jest odstępstw od logiki, geografii „i tym podobnych“. W teatrze zaraz z objęciem dyrekcyi przez p. Dobrzańskiego nastąpiła stanowcza zmiana na lepsze. Jednem słowem, na jakikolwiek szczegół życia lwowskiego rzucimy okiem, wszędzie widzimy postęp, dążenie ku lepszemu, wszędzie spostrzegamy, żeśmy przez te dziesięć lat urośli troszkę i spoważnieli.

Jeżeli jednak tromtadracya w dawnej swojej formie znikła, to nie można powiedzieć, aby duch tromtadracyi zupełnie się ulotnił z naszego grodu, samo tylko zostawiając wspomnienie. Tak dobrze jeszcze nie jest. Wcielił się on w inne kształty, przybrał odmienny, przyzwoitszy charakter, ale nie przestaje żyć i rozciągać skrzydeł swoich nad Lwim grodem, odgrywając czasem rolę jakby ducha opiekuńczego, nad małem dziecięciem zabłąkanem na rozdrożu.

Nowa ta tromtadracya ma barwę pobożną, poetyczną i patryotyczną. Zamiast zostawić wiarę i naukę we właściwych im zakresach, miesza ona dwie te rzeczy na sposób średniowiecznych scholastyków i powołuje się na św. Bernarda w rzeczach nauki, a na Śniadeckiego w teologicznych. O ile na tem wygrywa teologia, a szczególnie nauka, każdy to łatwo zrozumie.

W rzeczach patryotycznych przemawia głosem wyroczni. Ona jest alfą i omegą patryotyzmu, po za nią to albo zdrajcy, albo obojętni. Patryotyzm podług niej polega na tem, aby wygłaszać puste i czcze komunały na temat patryotyczny, bezwzględnie wychwalać przeszłość, a przyczyn politycznego upadku narodu nie szukać

bynajmniej w błędach politycznego i społecznego jego życia, bo choć były błędy, to my o nich nie powinniśmy wiedzieć. Ten tani patryotyzm daje przytem bardzo rozległe prawa: wolno takiemu patryocie tromtadratycznemu o wszystkiem rozprawiać i decydować, byle tylko z patryotycznego stanowiska, bo jeszcze niedawno czytaliśmy w pewnem pismie, które jest organem nowej tromtadracyi, „iż krytyka rozumna a dobra powinnaby wziąć patryotyzm jako punkt do oceniania wartości dzieł tak *naukowych*, jak literackich". Proszę sobie wyobrazić takiego krytyka, oceniającego fizykę lub astronomię z patryotycznego stanowiska!

Do tego obozu należy także wielu wierszopisów, tak poczynających, jak i tych, co cierpią chroniczną manię pisania wierszy bez sensu. Dobrawszy końcówki „nasza — lasza", „Boga — wroga" i zapełniwszy wiersze stekiem słów bez związku, są pewni, że stworzyli utwor patryotyczny, a znajdują się pisma, które to drukują przez wzgląd na owe końcówki patryotyczne, a bez najmniejszego względu na brak sensu.

Nie, zaiste, patryotyzm jest świętą ideą dla Polaka, ale nie taki, w jaki wy nas chcecie ubrać, panowie tromtadraci, nie patryotyzm prowadzący do ogłupienia narodu. Jużeśmy dojrzeli do czegoś lepszego. Chcemy patryotyzmu, który jak sam powinien być prawdą, to jest prawdziwem uczuciem, a nie sztuczną egzaltacyą, tak też powinien nie lękać się prawdy, czy to w dziedzinie własnej historyi, czy w ogólnej sferze nauki. Chcemy znać dokładne nasze błędy dziejowe, bo tylko z nich możemy zaczerpnąć nauki na przyszłość, a jakie wrażenie wywrze to na zagranicę, to nas mało obchodzi, bo wszystkiego się od własnej pracy spodziewamy, a nic od żebraniny zagranicą. Chcemy nauki rzetelnej, opartej na kamiennej podstawie faktów, tej, która dziś panuje na Zachodzie, która nam da nowe środki do dźwignięcia się, a bez której pozostalibyśmy gdzieś w tyle za orszakiem oświeconych narodów, niemi i pogardzeni. Chcemy tej nauki, a nie waszej scholastyki, która, nie gniewajcie się, ale podobną jest do starej szkapy, dobrej jeszcze do wożenia wody, ale nie do tego, by raźnie mogła pociągnąć rydwan narodu naprzód. Chcemy poezyi patryotycznej, ale takiej, w którejby było głębokie i światłe a przynajmniej szczere uczucie patryotyczne, a nie sam szelest słów patryotycznych. Tego chcemy i tak pojmujemy patryotyzm, pamiętajcie o tem i nie mówcie, że go nazywamy tromtadracyą, bo tę nazwę zachowujemy tylko dla waszej recepty patryotycznej.

ŁUSIA BURLAK.

NOWELLA

SEWERA

na tle najprawdziwszych faktów osnuta.

(Ciąg dalszy).

III.

Na jesień a w parę miesięcy po herbacie u państwa Burlaków, toczył się po drodze do Słotwiny wóz, ciągniony przez parę małych, lecz raźnych koników. W półkoszkach siedziała pani Burlakowa, obok niej córka Łusia, na przodzie parobek i profesor Toga z wąsami wyciągniętemi jak struny. Pedagog obrócony był twarzą do Łusi i jej matki. Łusia tęskno się oglądała za rodzinną wioską, cicho wzdychała i czasami ukradkiem przed matką obcierała łzy.

Profesor rad był z łez, gdyż one miały oznaczać serce dziewczynki, rad był z tęsknoty, gdyż ona miała świadczyć o przywiązaniu do ludzi i ziemi... Niczego więcej nie domyślał się, gdyż powaga jego i pewność siebie nie pozwalały na żadne domysły po za nim.

Nareszcie plan profesora dojrzał, poparty pożyczką dwóch setek Burlakowi, któremu pszenicę rdza zniszczyła. Parobek poganiał, Łusia wzdychała, droga uciekała, matka Burlakowa opowiadała historye, a profesor oczy wytrzeszczał. Minęli piachy na Rysiach, wielkiego dęba na połowie drogi i Leśniczówkę; wytchnęli w Mokrzyskach, i ani się opatrzyli, gdy stanęli przed dworcem kolei na Słotwinie.

Łusia zaledwo raz kiedyś z daleka widziała maszynę i nigdy nią nie jeździła. Pewne odrębne życie na stacyi, ruch, gromadka czekających ludzi, ich wesołość i żarty, przejazd pociągów towarowych, odurzyły młodą dziewczynkę, pozwalając jej zapomnieć na chwilę Staszka i ukochaną wioskę, cielęta żegnające ją bekiem i smutnemi spojrzeniami — i stado gołębi, które gromadą biegły przed wozem, usiadły na kościele i z kościoła żegnały swoją opiekunkę.

Łusia o wszystkiem zapomniała na myśl, że za chwilę pojedzie maszyną do wielkiego miasta.

Profesor, chcąc stanowczo pokonać umysł dziewczynki, a zaimponować matce, kupił bilety do Krakowa drugiej klasy. Zadzwoniono, maszyna z za lasu zaczęła świstać, dym i para z za drzew białymi kłębami wybuchać, potem nastąpił syk i ciężkie sapanie potworu, pociąg zatoczył się przed stacyę i stanął. Łusia zbladła, matka jej zaczęła się zbierać, a profesor oczy wytrzeszczał.

— Dwie minuty, siadać — zawołał konduktor. — Wykrzyknik ten zalektryzował gromadkę czekających i popchnął ją ku wagonom.

— Gdzie, gdzie — wołał konduktor — wiożąc profesora, Łusię i matkę plątających się koło wagonów drugiej klasy.

— Do Krakowa — odpowiedział profesor rezolutnie.

— Na prawo — krzyczał konduktor.

— Druga klasa — odparł profesor

— Druga klasa — powtórzył konduktor — druga klasa, to co innego i otworzył drzwi wagonu, w którym siedziały dwie damy, a na przeciwko nich młody człowiek.

Matka i Łusia, strasznie zafrasowane, wsiadły pierwsze, profesor podał im tobołki, i umieścił się obok nich. Łusia wstydziła się usiąść, lecz matka pociągnęła ją za spodnicę szepcząc jej: nie rób mi wstydu.

Damy widocznie bawiły się zaambarasowaniem wieśniaczek i naiwnością profesora, uśmiechały się patrząc na nie, jak na rzeczy, a rozmawiały po francusku. Młody człowiek włożył pensne (pince-nez) na nos, przypatrywał się Łusi, śmiał się głośno i coś szwargotał widocznie o niej, co miało oznaczać dobre wychowanie i szyk u młodzieńca. Łusia, chociaż nie rozumiała, sprytem kobiecym przeczuwała obrazę, odwróciła się od natręta, miała wielką ochotę zapłakać, a nawet radaby była wyskoczyć oknem i uciec do rodzinnej wioski.

Szczęściem damy z młodym człowiekiem wysiadły w Bochni, a nasza gromadka sama już odbywała podróż do Krakowa.

Łusię zajmowało i dziwiło wszystko, bieg pociągu, rozległe pola, rzeki i na nich mosty, patrzała się z pewnem odurzeniem niespodzianki, lecz i z odwagą młodości. Pod samym Krakowem profesor pokazał jej kopce Krakusa i Wandy. Spoglądała z góry na domy i ulice Podgórza. Wisła zdawała się jej jak wielka wstęga. I jeszcze troszeczkę, parę razy świsnęło, parę domów, para ludzi i Kraków!

Wsiedli do dorożki i pojechali do zajazdu na Kleparz, Łusia miała czas dziwić się bramie Floryańskiej, a profesor z tego wszystkiego cieszyć.

Należało Łusię przebrać za pannę, kazać uszyć sukienki, kupić kapelusz i rękawiczki. Po posiłku z zapasów przywiezionych z domu, poszli we troje przez Floryańską ulicę, Rynek, Grodzką, koło zamku na Stradom. Profesor opowiadał, lecz Łusia nic nie słyszała, bo musiała patrzeć i patrzeć i buzię otwierać. Dopiero napad żydów na Stradomiu ocucił dziewczynkę.

Nasi targowali się zawzięcie i nakupili różności, sprowadzono dwóch żydków do zajazdu, umieszczono ich w stancyi i zaczęła się na wielką skalę praca przerabiania Łusi na panią.

Dziewczynka nie chciała żadną miarą wdziać rękawiczek, gdyż myślała sobie, że gdyby ją wypadkiem Staszek zobaczył, dopieroby się też z niej śmiał, lecz matka, której rękawiczki na rękach jej córki widocznie pochlebiały, powiedziała jej, aby nie była głupią, i Łusia rękawiczki wdziała, a do tego trzewiki z korkami i kapelusz z niezapominajkami.

Z początku nie umiała chodzić na korkach, a wszystko to razem troszkę ją smuciło, ale i bardzo bawiło. Łusia została w stancyi pilnować majstrów, szyjących dla niej stroje, a profesor z panią Burlakową udali się do klasztoru zakonnic.

Na rogu ulicy szpitalnej i jednej z przecznic mieści się mały kościółek i maleńki klasztor św. Tomasza, przy którym jest urządzona szkoła żeńska. Zadzwoniono, otworzyli im furtę, weszli na przyciemniony korytarz i z tamtąd zaprowadzono ich do celi przełożonej.

Burlakowa widocznie posmutniała na myśl, że w takiem więzieniu będzie siedzieć dziecko jej lat parę. Przełożona, cicha i łagodna staruszka, zrozumiała myśli matki, przywołała jednę z sióstr polecając jej oprowadzić przybyłych po szkolnym zakładzie. Obszerne, jasne, wesołe sale, sypialnie czyste, ogródek do spaceru i zabawy, pociągający prostotą i świeżością. Parę pensyonarek sierot, które nie miały gdzie jechać na wakacye, wyglądały tak zdrowo i rumiano, że aż serce matki na ich widok zadrżało.

Po długich debatach z przełożoną urządzono, że Łusia zostanie na pensyi za trzy sta na rok, które profesor zaprezentowany w klasztorze, jako wujaszek Łusi, będzie płacił, sprawiał książki, kajeta i wszystko co potrzeba.

Łusia ubrana w pańskie sukienki wyglądała według wyobrażenia pani Burlakowej jak lalka, podług naszego zdania, nieco za dziko i niezgrabnie. Z ładnej i hożej wiejskiej dziewczynki zrobiła się opalona o ostrych ruchach mieszczanka. To też Łusia, co się przejrzała w lustrze, to rękami twarz zasłaniała z bolu

i wstydu. Profesor jednak był zadowolony ze swego dzieła i dumny niem, patrząc na Łusię, jak na przyszłą panią profesorową, da Bóg doczekać, za lat dwa.

Tragiczne było pożegnanie w kruchcie klasztoru. Dziewczynka zanosiła się od płaczu. Co się zbliżyła do żelazem okutych drzwi, to się zawracała padając w objęcia matki. Burlakowa również płakała, głośno lamentując. Profesor stał wyprostowany, marszczył brwi i wargę gryzł ze wzruszenia, a chcąc przerwać tę rozdzierającą jego serce scenę, zadzwonił. Otworzyły się drzwi, ukazały się dwie zakonnice; głaszcząc Łusię, uprowadziły ją, oderwawszy z objęć matki, służąca zabrała rzeczy, drzwi się zamknęły i na korytarzu było głucho, pusto i ponuro. Burlakowa zawołała, ocierając łzy:

— Gdzieżeś, gdzieżeś moja sieroto, jakże ja teraz bez ciebie wrócę do chaty sama — i znowu zaczęła głośno płakać i głośno się skarżyć.

Profesor sam wzruszony, ujął przyszłą teściową pod rękę i wyprowadził, wiodąc wprost na róg małego rynku i szpitalnej do handelku mamy Wolańskiej. Tam ciągnąc powolutku butelkę węgierskiego i przegryzając kiełbaski parawe z chrzanem, koili żal. Przy drugiej butelce pocieszali się, a przy trzeciej, przyszła teściowa pocałowała w czoło profesora mówiąc:

— Bóg ci zapłać, żeś Łusię odciągnął od wielkiego nieszczęścia, i oderwał od tego dziada Staszka Zawrzykraja, a jak ci Bóg poszczęści, to dziewucha moja będzie panią!

Słysząc wypowiedziane zadanie, siedzący przy drugim stoliku demokrata miejski, liczący głównie na lud, wstał, splunął z pogardy i wyszedł.

Trzy butelki wystarczyły na uspokojenie rozdrażnionych nerwów matki i zakochanego, należało się zbierać do odjazdu. Paweł miał czekać z końmi na stacyi. Wrócili do zajazdu, ztamtąd na dworzec kolei, i trzecią już klasą do Słotwiny i do domu.

Teraz dopiero po powrocie naszych do wioski a dowodnem przekonaniu się o spełnionym fakcie zamknięcia Łusi w klasztorze na nauce, rozpoczęła się opozycya i głośna krytyka dokonanego czynu.

Bywały przykłady, że synowie gospodarscy ze wsi Myszkowa kończyli szkoły, a nawet dwóch z nich prawo, lecz z tego wielkich korzyści nie miała wieś i gmina, nie wrócili do niej... Lecz pierwszy raz dopiero wiejska dziewczynka pojechała do miasta, aby się nauczyła być panią i została profesorową w tej samej wsi. Miała chodzić w długich sukniach, w kapeluszu, z parasolką i w rękawiczkach, siedzieć w kościele w ławce, obok wielkiego ołtarza, mieszkać w kamienicy na pierwszem piętrze, a mówiono, że ją będą uczyć po niemiecku, po francusku i grać na fortepianie!...

Wszystkie namiętności wystąpiły do walki. Rozmawiano przy studni, na wsi, u kowala, a w karczmie wyśmiewano się okrutnie. Parobcy ułożyli parę krakowiaków wydrwiwających Łusię i profesora, Burlaka i Burlakową.

Profesor był dumny ze swego czynu, Burlak mając dwie setki w kieszeni, nie chodził do karczmy i milczał, a pani Burlakowej pochlebiała ogólna zawziętość, oświadczyła, że to ino *bez zazdrość* i pocieszała się jedynakiem.

Jedna pani Krystyna, przepraszam, gdyby nie ta nieszczęśliwa tusza, piękna Krzysia, ta sama, co trzęsła dworem i gminą Myszkowa, a edukacyą kończyła we Wiedniu, nazwana przez pana Stefana, stałego wielbiciela, *Meternichem*, zrozumiała sytuacyę, a spotkawszy profesora, powiedziała mu jasno i otwarcie swoje poglądy.

Pan profesor wysłuchał cierpliwie, uśmiechając się naiwnie, i wytrzeszczając oczy, po czem ucałował pulchną rączkę damy i od przedsięwzięcia nie ustąpił.

— Nie baw ty się w Ostapa, bo nie znajdziesz Ulany...

— Pani Dobrodziejko, ja się nigdy w nic nie bawię, a wszystko w mojem życiu biorę na seryo — przerwał pani Krystynie profesor, ukłonił się i odszedł.

Wszelkie wrażenia szybko mijają, tem więcej u ludzi zajętych pracą, troskami ciężkiego życia w nieustannej walce o byt z kapryśną a nielitościwą przyrodą.

W parę tygodni zapomniano o Łusi, a zajmowano się tyle profesorem, o ile dzieci należało wysyłać do szkoły, przed obawą egzekucyi.

Zaledwo branka do wojska przerwała ogólną ciszę, a po wzięciu Staszka Zawrzykraja do wojska przypomniano sobie i Łusię. Ludzie mówili, że się dobrze stało, że nie ma Łusi, boby dziewczynie chyba z żalu serce pękło.

Tymczasem w Krakowie w małym klasztorku przy ulicy szpitalnej nasza bohaterka została zapisaną na liście uczennic jako Łucya Burlakowska, aby uniknąć prześladowania i pogardy koleżanek których nazwiska kończyły się na *ski*.

Od pierwszej chwili dziewczynie było smutno i ciężko, nieśmiała, niezgrabna, stawała się często przedmiotem żartów towarzyszek, co ją mocno bolało i więcej jeszcze czyniło nieśmiałą. Na drugi dzień swego pobytu zdradziła się, bo czegóż miała się ukrywać, że jest córką chłopa. Młode mieszczaneczki, a głównie z małych miasteczek, jak Bochnia, Myślenice, Chrzanów i Wieliczka, zaczęły noskami kręcić na wieśniaczkę, a Łusi serce się krwawiło, bo nie mogła pojąć, co zawiniła ludziom. Szczęściem, że miała dobrą pamięć i łatwo uczyła się swych lekcyi, a że tęskniła za wioską, była smutną i lękliwą, a zatem dobrą i cichą, pewno dla tego zyskała sobie serca zakonnic.

Cniło *) się dziewczynie w murach klasztoru. Wiele razy się położyła, myślała sobie o wiosce, matce, ojcu, cielętach i ośle, a najwięcej o Staszku.

— Co tam teraz robią — zapytała sama siebie. — Pewno już zasiali żyto, a teraz sieją pszenicę, konopie wyrwali, len moczą, kartofle kopią, a ona tu, męczy się i więdnie, a Staszek? pewno Staszek płacze — pochlebiała sobie zasypiając...

Żadna z rówiennic zbytecznie się nie zbliżała do Łusi, wszystkie uważały się za coś wyższego od chłopki, a najwięcej mieszczaneczki z małych miasteczek, tych gniazd arystokracyi. Jedna tylko, jedyna szlachcianeczka w całym zakładzie, zdradzała sympatyę do cichej wieśniaczki. Raz nawet, gdy nikogo w klasie nie było, szlacheckie dziecko przysunęło się do Łusi, stanęło na ławce, przycisnęło główkę jej do swych piersi i pocałowało ją w usta.

— Tyś smutna i ja nie wesoła — szepnęła — ciebie pewno serce boli, i moje się ściska.

Tyle serdeczności wycisnęło łzy u Łusi, płakały obiedwie, przysięgając sobie dozgonną przyjaźń.

Od tej chwili nie rozłączyły się, ucząc się razem i dzieląc troskami i nadziejami. Przy zwierzaniach okazało się, że obiedwie kochały z wzajemnością, lecz i obiedwie rozdzielały przepaści od ich ukochanych. Szlachcianeczka uczyła Łusię nienawidzić profesora, a jednak Łusia nie mogła się zdobyć na nienawiść.

— Przecież on ją kochał — myślała sobie — pracuje, odejmuje sobie od ust, aby ją ubrać i uczyć, za cóż go nienawidzić, chyba dla tego, że ona kochała Staszka. I cóż temu winien profesor?...

Różnice zapatrywań dowodzą, że szlachcianeczka więcej miała w sobie dramatyczności, a wieśniaczka serca.

Mijały miesiące, zima zaczęła się srożyć, a węzeł przyjaźni dwóch koleżanek co raz więcej zaciskać. Mieszczaneczki wywnioskowały, że szlachcianka z dumy, aby się z niemi zbytecznie nie bratać, zbliżyła się do wieśniaczki, gdy tymczasem Łusia pod protekcyą towarzyszki nabierała coraz więcej śmiałości, a skutkiem jej wpływu coraz więcej odwagi i energii charakteru.

W jednym z dni karnawału profesor uprosił u pani Krzysi kucharza, i z nim wspólnemi siłami zrobili pięć kóp pączków, które tego samego dnia wysłane zostały na ręce narzeczonej do klasztoru.

Pączki stanowczo wpłynęły na zmianę stanowiska Łusi na pensyi, a to dla tego, że żadna z matek nie przysłała swej córce pączków, i że na każdą z pensyonatek przypadło pięć sztuk, resztę wzięły zakonnice. Od tej chwili zaczęto głośno mówić o wujaszku Łusi, o jego bogactwie i hojności. Niektóre z mieszczanek z małych miasteczek zaczęły zazdrościć Łusi świetnej partyi, tylko się z tem nie wydawały. Jedna tylko szlachcianka, wzywała po cichu Łusię do wytrwałości w uczuciu dla Staszka, bojąc się, aby pączki nie zachwiały przywiązania dziewczynki.

Dnie mijały podobne do siebie, i dla tego biegły tak szybko. Łusia coraz więcej się oswajała i przywykała do zakonnic, koleżanek i książki.

Tak rzeczy stały do marca. W jednym z tych dni, w których słońce uśmiecha się do ludzi wiosną, dał się słyszeć o niewłaściwej porze dzwonek u furty klasztornej. W parę chwil zawołano Łusię do ksieni. W celi stała Zawrzykrajka, matka Staszka, dobra kobieta, kochająca Łusię, jak córkę, z wdzięczności za jej miłość do syna.

Zawrzykrajka roztworzyła ramiona. Łusi wszystkie wspomnienia z wioski cisnęły się do główki i serca, popychając rozczuloną w objęcia matki ukochanego.

— Jak ona wybielała, jak pańskie dziecko — mówiła uszczęśliwiona kobieta, tuląc dziewczynkę do siebie.

Ksieni uwierzyła w przywiązanie wieśniaczki do Łusi, a nie miała żadnego powodu powątpiewać, aby Zawrzykrajka nie była ciotką dziewczynki, i dla tego pozwoliła faworytce na godzinę oddalić się z klasztoru, tem więcej,

*

*) Cnić znaczy tęsknić.

gdy kobiecina powiedziała, że mąż jej słaby na nogi, czeka na wozie przy bramie Floryańskiej, aby zobaczyć Łusię.

Dziewczynka po raz drugi zobaczyła miasto, ludzi, ruch, wrzawę i słońce! Ach to słońce, które się kąpało w lazurach, budziło w dziewczynce uśpione udręczenia serca, tęsknotę za wioską i życiem wieśniaczem.

Obiedwie, matka Staszka i dziewczynka szły prędko przez Szpitalną ulicę na Kleparz, rozmawiając żywo o wszystkiem, co Łusia kochała i zostawiła w wiosce. Twarz dziewczynki zarumieniła się, oddychała ciężko i szła prędko na pół nieprzytomna, nie widząc gdzie i po co.

Na Kleparzu nowy a niespodziewany widok jeszcze więcej rozdrażnił wzburzone nerwy dziewczynki. Był to dzień targowy, setki włościan z okolicy w takich samych sukmanach jak w Myszkowie, kobiety w białych chustkach na głowach, a wszyscy rozmowni, weseli i podochoceni. Łusia miała wielką ochotę wmięszać się w tłum, tylko nie śmiała w miejskiej sukience i kapeluszu. Smutno jej się zrobiło, lecz szła, postępując wciąż za Zawrzykrajką. Nareszcie dobiły do zajazdu, przeciskając się przez tłum zalegający bramę. Matka Staszka odchyliła drzwi, kiwnęła na Łusię, i gdy ta podbiegła, zobaczyła w stancyi ślicznego chłopaka w ułańskim mundurze. Łusia zbladła, stanęła na progu, nie mogąc iść dalej. Zawrzykrajka lekko ją popchnęła i drzwi za nią zamykając, zostawiła młodą parę samą. Wtedy to kobiecina zaśmiała się, klasnęła w dłonie i grożąc ręką zawołała:

— Pokażę ja Burlakom! Cóż to oni będą wydziwiać na mojego Staszka! Niech wydziwiają, a czy tak czy siak, zawsze siedm morgów Łusine będzie jego!...

Dla dodania sobie animuszu, wypiła kieliszek araku, pochodziła chwilę jednę i drugą po zajeździe, a nareszcie, zdjęta ciekawością, dostała się do drugiej izby i przez dziurkę od klucza podpatrzyła i podsłuchała zakochaną parę.

Staszek siedział na ławce, koło niego stała Łusia, trzymając rękę na jego ramieniu, Staszek płakał i lamentował powtarzając:

— Moja jedyna Łusiu, moje ty kochanie, idę het het w kraj daleki za góry, i może cię już nigdy nie zobaczę!... Łusiu, Łusiu, życie mi obrzydło bez ciebie...

— A czemużeś się ze mną nie ożenił — wybuchając płaczem zawołała Łusia. — A czemużeś się ze mną nie ożenił — powtórzyła ciszej. — I później na wszystkie żale i skargi chłopca odpowiadała wśród łez jednem tylko zaklęciem i pełnym bolu wyrzutem:

— A czemużeś się ze mną nie ożenił!

Staszek upojony odpowiedzią, objął dzieweczkę w pół, przytulił głowę do jej piersi i płakał, a Łusia powtarzając cicho pieszczotliwie i miłośnie: „A czemużeś się ze mną nie ożenił!“ — głaskała go ręką po twarzy.

— Ej to nic, moje dzieci — rzekła wchodząc Zawrzykrajka do izby — możecie się jeszcze pobrać z wolą Pana Boga, Staszek za półtora roku, abo za dwa lata wróci, a gdy Łusia zechce, to matkę przeprze, a ktoby tam na starego Burlaka zważał. Cóż to, czy Staszek nie jest także gospodarskim synem?... No i cóż, że ma nie wiele? Jednemu Pan Bóg daje dużo, a drugiemu mało...

— Ej, moja Matusiu — szepnął chłopiec — rukują*) nas aż do Siedmiogrodzkiej ziemi. Czyż ja z tamtąd wrócę?

— A czemużeś się ze mną nie ożenił — zawołała Łusia i znów łzy trysnęły jej z oczu.

— Nie wydziwiałbyś, bo ino rozżalasz dziewuchę — rzekła matka strofując syna.

— Nie wydziwia on nic — szepnęła żałośnie Łusia...

— Otóż wydziwia — przerwała Zawrzykrajka — czy to on idzie na wojnę, czy co. Zwyczajnie rukuje z wojskiem i już! Nie turbuj się Łusiu nic, jeżeli tylko będziesz mu ślubować, że go nie zapomnisz, to wszystko będzie dobrze; — a zbliżając się do ucha dziewczynki dodała cicho: — Bo widzisz, Zosia Gofronówna także radaby go mieć.

Wyznanie to zelektryzowało Łusię, że mimowolnie ręką objęła szyję ułana.

— O tak, to hale — mówiła dalej głośno uradowana kobiecina — kiedy go kochasz, to reszta fracha. A ty mi dziewuchy nie strasz.

— Wrócisz — szepnęła Łusia.

— Wrócę — odrzekł również cicho Staszek.

— No to będę czekać — powiedziała dziewczynka, oczy zasłaniając.

— No i czegoż ty jeszcze chcesz — zawołała matka do syna.

— Ja już niczego nie chcę, tylko że mi będzie się bardzo cnić bez Łusi i bez was matusiu.

— Mnie ta nie pochlebiaj, a Bogu dziękuj, że taka dziewucha jak Łusia, upodobała się w tobie...

Trębacze zagrali na wieży Panny Maryi. Łusia drgnęła, czas już wielki było wracać do klasztoru. Zawrzykrajka mrugała na syna, pokazując mu, aby pocałował Łusię, lecz zakochany chłopiec nie mógł się zdobyć na odwagę. Wtedy Łusia jako bogaczka i panna z pensyi, pochyliła się cała zarumieniona, pocałowała chłopca w czoło i zaraz odwróciła się.

Zawrzykrajka widząc to, zaczęła klaskać w ręce. Łusia obtarła twarz z łez chusteczką, włożyła kapelusz, mówiąc odwrócona od Staszka:

— Muszę uciekać, taka już moja dola, Staszku nie zapomnisz ty mnie w obcym świecie, między innymi ludźmi?....

— Łusiu! — zawołał z mocą chłopiec — a niechaj pierwej nagła śmierć mnie trafi.

— Pamiętaj — szepnęła i tamując płacz, nie patrząc na Staszka, wybiegła z izby, w bramę i na ulicę do klasztoru.

— Łusiu, córko moja — wołała goniąc dziewczynkę Zawrzykrajka. — A toż ja cię muszę odprowadzić, bo cóżby zakonnice powiedziały.

Łusia zwolniła kroku. Szły razem obie. Matka mówiła o synie i o jego miłości do Łusi. Dziewczynka przez całą drogę nie wymówiła ani słowa, zamyślona, roztargniona. W kruchcie pocałowała matkę swego Staszka w rękę, zadzwoniła i za chwilę zniknęła za żelaznemi drzwiami klasztoru. Zawrzykrajka uszczęśliwiona wróciła do syna.

Co szczególna, że ani razu nie wspomniano o profesorze. Nie uczyniono tego z delikatności, lecz po prostu, że uważali związek profesora z Łusią za niepodobieństwo, o którym nawet nie warto było mówić.

(Dok. nast.)

*) Rukować, iść w pochód w marsz.

STUDYA HISTORYOZOFICZNE

Tadeusza Korzona.

VICO

III.

Uwagi krytyczne.

(Dokończenie.)

Jeszcze większy zamęt wyobrażeń panuje w drugiej części Ricorsi. Naprzód nie widzimy już żadnej granicy pomiędzy: wiekami boskim, bohaterskim i ludzkim w nowożytnym świecie; przykłady są chwytane z najrozmaitszych epok w największym nieładzie, a wszystkie prawie zdradzają zupełną nieznajomość wieków średnich. I tak dalmatyki dyakonów, tytuł świętego majestatu i tp. bynajmniej nie dowodzą istnienia wieku boskiego u Germanów, boć teraz każdy wie, chociażby z książki szkolnej, że konungowie byli przedewszystkiem wodzami, że władzy swojej nie wyprowadzali od Boga, że jeśli nie umieli zadowolnić swoich wojowników, bywali przez nich czasem obici, jak Klotaryusz I. na saksońskiej wyprawie. Więcej by się nadał do poglądów Vico ustęp z Tacyta (c. 7.) o władzy karania śmiercią lub chłostą, jaką posiadali germańscy kapłani, ale i to jeszcze nie prowadzi bynajmniej do wniosków, żeby Germanie posiadali kiedykolwiek rządy teokratyczne.*) Wykształcenie uczuć religijnych jest późniejszym już owocem starań duchowieństwa, a najwyższy objaw pobożności mas widzimy w krucyatach, które Vico wyraźnie mieści już w wieku bohaterskim. Wynoszenie relikwii mogło się zdarzyć może i kilka razy, ale nigdy nie było konieczną atrybucyą wojny i w wiekach średnich nigdzie też nie napotykamy prawa fecyalnego Rzymian, religijnych obrzędów, rzucania głowni na ziemię nieprzyjacielską przy wypowiedzeniu wojny. Co do języków znów i hieroglifów, jakkolwiek w czasie wytwarzania się mów romańskich i teutońskich były epoki lingwistycznego zamętu; to przecież do niemoty nie przyszło, jak o tem świadczą przechowane zabytki mów ludowych np. przysięga Karola Łysego i Ludwika niemieckiego z w. IX, Heliandslied, Gudrungsklage, i tp. Herby i godła rycerskie nie mogą być też porównane do hieroglifów, kiedy oprócz pisma łacińskiego istniało gockie już w Biblii Ulfilasa, pisanej w IV wieku. Symbolistyka istniała i istnieje zawsze, ale nie znaczy pisma. Rozboje rzeczywiście szeroko się rozpościerały w wiekach średnich, ale za to w starożytnym Rzymie nie były znane, chyba z podań i mytologii. Przypuszczając że wyraz „Turcy“ ma być równoznaczny z wyrazem: psy, nie widzimy w tem jeszcze instytucyi niewolnictwa, a w każdym razie nie potrzebowało ono wracać, ponieważ Rzym przechował ją aż do ostatnich czasów swego istnienia; poddaństwo zaś średniowieczne, jakkolwiek dotkliwe dla ludu, było przecież łagodniejszą instytucyą niż servitus rzymskie. Znaczenie azylów jest znowu fałszywie i przesadnie podane: miejsca schronienia dla występnych lub prześladowanych istniały w wiekach średnich tak samo jak w Grecyi i Rzymie przy świątyniach, ależ bynajmniej nie wpływały na rozwój stosunków feudalnych, ani na zakładanie miast.

Dziwnie też fałszywie pojmował Vico istotę stosunków feudalnych, kiedy porównywał feudalnych baronów i wassali do rzymskich klientów

*) Porównaj Waitz I. 210—212.

lub do królów, obdarzanych tytułem socii populi Romani. Wystarczała mu do przeprowadzenia takiej paraleli jedna cecha zależności. Tym sposobem naturalnie w każdym wieku, w każdej społeczności, zaczynając od egipskiej kasty wojowników, a kończąc na naszych parobkach i lokajach, można znajdować wszędzie baronów i klientów. Ale rzuciwszy okiem chociażby na znaczenie i stanowisko społeczne stanów, od razu uderzają niezmierne różnice pomiędzy średniowieczną armią osiadłą, na dobrach suzerenów, a tą klasą, przeważnie z przybyszów i cudzoziemców złożoną, która, nie używając praw cywilnych w Rzymie lub Atenach szukała opieki obywateli miejskich i przyjmowała obowiązki służalcze względem patronów. Tego nawet zapewne Vico nie wiedział, że hrabiowie Tuluzy lub Szampanii, że królowie angielscy z rodu Plantagenetów, książęta rzeszy niemieckiej, król czeski i tp. będąc wassalami królów francuskich lub cesarzów rzymskich, nie potrzebowali przecie odprowadzać swych suzerenów wieczorem do domu, żeby dostać wieczerzę. Niemniej fałszywem jest porównanie senatu Romulusowego, w którym zasiadali patres conscripti z parlamentami, które się wytworzyły z germańskich sejmów, pól marcowych i majowych, a te były zgromadzeniem wszystkich ludzi wolnych. W ogólności nie dostrzegamy, żeby Vico miał jakiekolwiek wyobrażenie o różnicy państw germańskich, zbudowanych na szerokiej podstawie, utrzymywanych głównie przez posiadaczy ziemskich, przez większą arystokracyę, od państw greko-italskich, których pierwiastkiem zarodowym było miasto (municipium, πόλις).

Ostatnie wnioski dzieła o wiekuistości rodzaju ludzkiego i o „społeczności narodów przez Boga rządzonej" nie podlegają naturalnie analizie ściśle naukowej, niemniej jednak są drogocennemi, jako głos przeczuć i wiary, pochodzący od męża wzniosłego i silnego umysłu, który długie lata spędził na rozmyślaniach o przeznaczeniu i celach ludzkości.

Teraz, gdyśmy przejrzeli teoryę „Nowej nauki" w szczegółach, powykreślali błędy i zaznaczyli ustępy, godne uwagi dzisiejszego badacza, poważymy się jeszcze wypowiedzieć wrażenia ogólne, dotknąć tych idei „Nowej nauki", które mają interes bezpośredni dla naszego pokolenia.

Nam się widzi, że każdy, coby zapragnął poświęcić się filozofii dziejów lub podumać „na grobie narodów", musi poznać i rozważyć następne utwory myśli Vico:

1. Skojarzenie wolnej woli pojedyńczego człowieka z rządem praw powszechnych, jest to kamień obrazy pomiędzy bojującemi obecnie obozami idealistów i pozytywistów.

2. Pojęcie „wielkiej społeczności narodów" i umieszczenie najwyższego probierza prawdy w „powszechnem poczuciu rodzaju ludzkiego". (Powiedzmy nawiasem, że do tegoż wniosku jakkolwiek inną drogą przyszedł spółczesny nam Draper).

3. Głębokie, jakkolwiek nie zawsze przekonywającemi dowodami popierane przeświadczenie o możności utworzenia historyi „Idealnej, wiekuistej", teoretycznej, w której główną rolę grać mają nie gwar codziennego życia, nie tryumfy wojowników lub klęski oręża, ale spokojny pochód ludów, owe niezmienne i nieodwołalne „corso" z woli ducha „zawsze wyższego po nad te szczegółowe cele, jakie ludzie sobie zakładają", po drodze raz na zawsze wytkniętej, odradzając się i oczyszczając wiekuiście bez końca!

Tadeusz Korzon.

HEKTOR SERVADAC

PRZYGODY W PODRÓŻY PO ŚWIATACH SŁONECZNYCH

przez

JULIUSZA VERNE'A.

CZĘŚĆ DRUGA.

(*Ciąg dalszy*).

ROZDZIAŁ I.

W którym bez ceremonii przedstawia się trzydziesty szósty mieszkaniec Galii.

Nakoniec trzydziesty szósty mieszkaniec Galii ukazał się na Gorącej Ziemi. Jedyne słowa, zaledwie zrozumiałe, które wymówił, były:

— To mój kometa! mój!

Co one oznaczały? Czy, że fakt, dotąd nie wyjaśniony, rzucenia w przestrzeń ogromnego kawała oderwanego od ziemi, spowodowany był potrąceniem komety? Czy nastąpiło jakie spotkanie na orbicie ziemi? Której z dwóch asteroid samotnik z Formentery nadał nazwę Galii, czy gwieździe ogoniastej, czy też odłamowi rzuconemu w przestrzeń słoneczną? Kwestyę tę mógł rozwiązać tylko sam uczony, tak energicznie domagający się „swojego komety."

W każdym razie człowiek ten, na pół martwy, był niezawodnie autorem notat, zebranych podczas podróży *Dobryny*, tym samym astronomem, który zredagował dokument przyniesiony na Gorącą Ziemię przez wędrownego gołębia. On tylko jeden mógł rzucić w morze puszki i baryłkę i dać wolność temu ptakowi, którego instynkt musiał skierować ku jedynemu punktowi zamieszkałemu. Uczony ten — gdyż niezawodnie był uczonym — musiał wiedzieć cokolwiek o Galii. Mógł wymierzyć stopniowe oddalenie się jej od słońca, obliczyć zmniejszanie się jej szybkości. Ale — i to było najważniejszem — czy poznał naturę jej orbity, czy była to hyperbola, parabola, czy też elipsa? Czy zbadał nakoniec, ażali nowa gwiazda znajdowała się w takich warunkach, by powrócić na ziemię i w jakim czasie to się stanie?

Oto były pytania, które hrabia stawił naprzód samemu sobie, a następnie kapitanowi Servadac i porucznikowi Prokopowi. Ci nie mogli dać odpowiedzi. Też same kwestye badali oni i roztrząsali podczas ostatniej podróży, ale rozwiązać ich nie zdołali. A tu, jak na nieszczęście, jedyny człowiek, który, według wszelkiego prawdopodobieństwa, posiadał rozwiązanie tego zadania, był prawie trupem! W takim razie należało zrzec się na zawsze poznania przyszłości, jaka czekała świat galicki!

Przedewszystkiem zatem należało przywrócić do życia to ciało astronoma, nie dające już żadnych znaków życia. Apteka *Dobryny* była należycie zaopatrzona w lekarstwa i na ten raz bardzo się przydała. To też zwrócono się ku niej po następnem zachęcającem wezwaniu Ben-Zufa:

— Do dzieła, panie kapitanie! O! ci uczeni mają ogromnie twarde życie!

Zaczęto więc umierającego rozcierać tak potężnie, iż to mogłoby zaszkodzić zdrowemu i wlewać mu do gardła kordyały tak wzmacniające, iż mogłyby przywrócić do życia umarłego.

Zewnętrzny ratunek powierzono Ben-Zufowi i Negretemu. Możemy zapewnić, że dwaj ci potężni rozcieracze sumiennie wywiązywali się ze swych obowiązków.

Przez ten czas Hektor Servadac napróżno zapytywał sam siebie, kto jest ten Francuz, którego sprowadził z wyspy Formentery, i wśród jakich okoliczności miał z nim poprzednio stosunki?

Powinien był jednak poznać tego człowieka. Ale widział go w tym wieku, który, nie bez słuszności nazywają wiekiem niewdzięcznym, gdyż w samej rzeczy jest nim, tak pod względem moralnym jak i fizycznym.

W samej rzeczy, uczony, leżący teraz w wielkiej sali Ula Niny, był ni mniej ni więcej jak profesorem fizyki Hektora Servadac w liceum Karola Wielkiego.

Profesor ten nazywał się Palmiryn Rosette. Był to prawdziwy uczony, bardzo mocny we wszystkich naukach matematycznych. Przeszedłszy klasy początkowe, Hektor Servadac opuścił liceum, wstąpił do szkoły Saint-Cyr i od tego czasu profesor i uczeń nie spotykając się, zapomnieli o sobie.

Jak wiadomo, Servadac, jako uczeń, nie bardzo przykładał się do nauk szkolnych. Ale za to ileż figlów płatał nieszczęśliwemu Palmirynowi Rosette w towarzystwie kilku innych niesfornych kolegów!

Kto dodawał kilka ziarnek soli do wody dystylowanej w laboratoryum, co wywoływało najniespodziewańsze reakcye chemiczne? Kto wykradał kroplę rtęci z barometru, by go postawić w rażącej sprzeczności ze stanem atmosfery? Kto rozgrzewał termometr na kilka chwil przed tem, gdy go się miał poradzić profesor? Kto wpuszczał żywe owady w lunetę? Kto psuł izolacyę maszyny elektrycznej, tak że nie mogła wydać ani jednej iskry? Kto nakoniec wyświdrował niewidzialny otwór w maszynie pneumatycznej, tak że Palmiryn Rosette napróżno silił się wypompować powietrze?

Takie były najzwyklejsze psoty ucznia Servadaca i jego zbyt wesołej kompanii.

A psoty te miały tem więcej uroku dla szkolarzów, że pomieniony profesor był pierwszorzędnym impetykiem. Wyradzały się gniewy i napady zapamiętałości, zachwycające psotników.

We dwa lata po opuszczeniu liceum przez Hektora Servadac, Palmiryn Rosette, czując się więcej kosmografem aniżeli fizykiem, zarzucił zawód nauczycielski, ażeby oddać się wyłącznie studyom astronomicznym. Próbował wstąpić do obserwatoryum; ale zgryźliwy charakter był powodem, że drzwi tego zakładu stanowczo były dla niego zamknięte. Ponieważ zaś posiadał niejaki majątek, począł więc zajmować się astronomią na własny rachunek, bez żadnego urzędowego tytułu, z serdecznem zadowoleniem krytykując innych astronomów. Jemu to zresztą świat uczony zawdzięcza odkrycie trzech ostatnich planet teleskopowych i wyrachowanie elementów trzechset dwudziestej piątej z komet skatalogowanych. Ale, jak powiedziano wyżej, ani profesor Rosette, ani uczeń Servadac nigdy następnie nie widzieli się, aż do owego niespodziewanego spotkania na wyspie Formenterze. Owoż nic dziwnego, że po kilkunastu latach kapitan Servadac nie poznał byłego swego profesora Palmiryna Rosette, zwłaszcza w stanie, w jakim ten znajdował się teraz.

Gdy Ben-Zuf i Negrette pozdejmowali z uczonego futra, któremi od stóp do głów był otulony, znaleźli się w obecności człeczyny mającego pięć stóp i dwa cale wysokości, wychudzonego niezawodnie, ale widocznie i z natury chudego, bardzo łysego, o jednej z tych pięknych czaszek wypolerowanych, podobnych do strusiego jaja, bez zarostu, tylko z kilku włosami na brodzie, widocznie od tygodnia nie golonej, o nosie długim i garbatym, służącym za podstawę potężnym okularom, które w pewnym rodzaju krótkowidzów zdają się stanowić nierozdzielną część ich osobistości.

Człeczyna ten musiał być nadzwyczaj nerwowym. Można go było przyrównać do owych szpulek Rhumkorffa, których nawinięta nitka długa jest na wiele hektometrów i w których prąd nerwowy zastępuje prąd elektryczny z niemniejszem natężeniem. Słowem w „szpulce Rosette" nerwowość zawierała się w bardzo wysokim naprężeniu, jak elektryczność w szpulce Rhumkorffa.

Wszakże, chociaż profesor był tak nerwowym, nie było jeszcze powodu do wyprawienia go na tamten świat. W świecie liczącym trzydziestu pięciu mieszkańców, życie trzydziestego szóstego nie jest do pogardzenia. Gdy umierającemu zdjęto po części jego odzież, można było przekonać się, że serce jego bije jeszcze; słabo, ale bije. Możebnem zatem było przywrocenie mu przytomności, przy energicznych po temu usiłowaniach. Ben-Zuf nacierał i szurował to ciało jak stary płaszcz, albo szablę na paradę, przyśpiewując. Wreszcie po dwudziestu minutach nieprzerywanej pracy z ust umierającego wyrwało się westchnienie, potem drugie i trzecie. Zęby, dotąd mocno zaciśnięte, zwolniały; oczy poczęły migotać, potem otworzyły się ostatecznie; ale chory był bez żadnej świadomości miejsca i okoliczności wśród jakich znajduje się. Wymówił kilka słów, których nie podobna było zrozumieć. Prawa jego ręka wyciągnęła się i podniosła ku czołu, jakby szukając tam czegoś i nie znajdując. Potem rysy jego skurczyły się, twarz poczerwieniała, jak gdyby powrócił do życia w przystępie gniewu — i krzyknął:

— Okulary! gdzie są moje okulary?

Ben-Zuf począł szukać żądanych okularów. Znaleziono je. Monumentalne te okulary uzbrojone były w prawdziwe szkła teleskopowe. Podczas rozcierania odpadły one od skroni, do których zdawały się być przymocowane jak gdyby pręt był przeprowadzony od jednego profesorskiego ucha do drugiego. Osadzono je na nosie podobnym do dzióba orła, to jest we właściwem swem miejscu i znowu dało się słyszeć westchnienie, zakończone odchrząknięciem, pomyślnie wróżącem.

Kapitan Servadac nachylił się nad twarzą Palmiryna Rosette i począł wpatrywać się w nią z największą uwagą. Jednocześnie i ten otworzył bardzo szeroko oczy. Żywe spojrzenie przedarło się przez szkła jego okularów i głosem zirytowanym zawołał:

— Uczeń Servadac, pięćset wierszy na jutro! *)—Temi słowami Palmiryn Rosette przywitał kapitana Servadac.

Po tym dziwacznym wstępie do rozmowy, wywołanym dawniejszemi wspomnieniami, Hektor Servadac, chociaż sądził stanowczo, że mu się śni, poznał również dawnego swego profesora fizyki z liceum Karola W.

*) We francuskich szkołach uczniom za karę każą przepisywać wiersze. P. T.

— Pan Palmiryn Rosette! — zawołał,—dawny mój profesor!... z ciałem i kośćmi!

— Tylko z kośćmi — odrzekł Ben-Zuf.

— Do licha! szczególniejsze spotkanie!...— dodał zdumiony kapitan.

Tymczasem Palmiryn Rosette wpadł w rodzaj uśpienia, co należało uszanować!

— Niech pan będzie spokojny, panie kapitanie — rzekł Ben-Zuf. — Będzie żyć, ja za niego odpowiadam. Tacy ludziska, to same żyły! Widziałem suchszych aniżeli on i z dalszych stron powracających!

— Zkąd, naprzykład?

— Z Egiptu, panie kapitanie, w pięknych pudłach pomalowanych.

— To były mumie — cymbale!

— Tak jest — panie kapitanie.

Gdy profesor usnął, przeniesiono go do ciepłego łóżka, z konieczności odkładając do jego przebudzenia się zapytania dotyczące komety.

Przez cały ten dzień kapitan Servadac, hrabia i porucznik Prokop, przedstawiający Akademię Nauk małej kolonii, zamiast czekać cierpliwie dnia następnego, nie mogli powstrzymać się od budowania przypuszczeń najnieprawdopodobniejszych. Jakiemu komecie właściwie Palmiryn Rosette nadał nazwę Galii? Czy wyraz ten nie oznaczał odłamu kuli ziemskiej? Czy wyrachowania odległości i szybkości, ponotowane, dotyczyły komety Galii, czy nowej sferoidy, unoszącej kapitana Servadaca i trzydziestu pięciu jego towarzyszów? Więc nie byli już Galijczykami!

Oto właśnie należało zapytać. A jeżeli tak było, to runęły razem z tem wszystkie pracowite wywody udowodniające jakoby istnienie sferoida, wyrwanego z samych wnętrzności ziemi i zgadzające się z nowemi fenomenami kosmicznemi.

— No i cóż! — zawołał w końcu Hektor Servadac — mamy profesora Rosette, który nam to wszystko wyjaśni.

Zwróciwszy rozmowę na Palmiryna Rosette, kapitan Servadac dał go poznać swoim towarzyszom takim, jakim ten był istotnie: człowiekiem w pożyciu trudnym, z którym stosunki zwykle bywały naprężone. Przedstawił go jako niepoprawnego oryginała, bardzo upartego, bardzo prędkiego, ale w gruncie nie złego. Najlepszy sposób na niego był pozwolić przeminąć jego złemu humorowi.

Gdy kapitan Servadac zakończył krótki swój ustęp biograficzny, przemówił hrabia:

— Bądź pan pewien, kapitanie, iż zrobimy wszystko, by utrzymać dobre stosunki z profesorem Palmirynem Rosette. Sądzę zresztą, iż wyświadczy on nam wielką usługę, gdy zawiadomi o rezultacie swych spostrzeżeń. Ale może to zrobić pod jednym tylko warunkiem.

— Jakim? — zapytał Hektor Servadac.

— Jeżeli w samej rzeczy — odrzekł hrabia — jest autorem dokumentów, które się nam dostały.

— Czy pan powątpiewasz o tem.

— Nie, kapitanie. Wszelkie prawdopodobieństwo byłoby przeciw mnie i wypowiedziałem to tylko, ażeby wyczerpać szereg hipotez nieprzychylnych.

— Ale któżby mógł zredagować te rozliczne notaty, jeżeli nie był mój profesor? — zauważył kapitan Servadac.

— Może jaki inny astronom, opuszczony na jakim innym punkcie stałej ziemi.

— To być nie może — zauważył porucznik Prokop — ponieważ właśnie przez dokumenta te poznaliśmy nazwisko Galii, które wymówione także zostało przez profesora Rosette.

Tej bardzo słusznej uwadze nie można było nic zarzucić. Samotnik z Formentery był niewątpliwie autorem notat. Co zaś porabiał na tej wyspie, o tem można było dowiedzieć się z własnych jego ust.

A przy tem nie tylko jego drzwi, ale i jego papiery przeniesiono razem z nim i nie było żadnej niedyskrecyi w zajrzeniu do nich podczas gdy uczony spał.

Tak też zrobiono.

Pismo i liczby były tej samej ręki co i na dokumentach. Drzwi jeszcze były okryte znakami jeograficznemi, nakreślonemi kredą, których dopilnowano, by się nie uszkodziły. Co do papierów, to te głównie składały się z luźnych kartek pokreślonych figurami geometrycznemi. Tam krzyżowały się hyperbole, te linie krzywe, otwarte, o dwóch nieskończonych i coraz więcej oddalających się od siebie odnogach; parabole, linie krzywe, których odnogi chociaż nie rozchodzą się lecz i nie schodzą w nieskończoność; nakoniec elipsy, linie krzywe zawsze zamknięte, choćby najbardziej wydłużone.

Porucznik Prokop zrobił uwagę, że wszystkie te krzywe linie stosowały się wyraźnie do orbit komet, które mogą być paraboliczne, hyperboliczne, eliptyczne — co w pierwszych dwóch razach znaczyło, że komety, obserwowane z ziemi, nigdy nie mogły dojść do horyzontu ziemskiego; w trzecim zaś, że ukazywały się peryodycznie w większych lub mniejszych odstępach czasu.

Pewnem zatem było, po pobieżnem przejrzeniu papierów i drzwi, że profesor zajmował się wyrachowywaniem elementów komet; ale nie podobna było nic przesądzać z rozmaitych krzywych linii, przez niego studyowanych, gdyż astronomowie rozpoczynając rachunek, zawsze przypuszczają paraboliczną orbitę komet.

Nakoniec z tego wszystkiego wynikało, że Palmiryn Rosette, podczas swego pobytu na Formenterze wyrachował całkiem lub w części elementa naszego komety, którego nazwa wcale nie figurowała w katalogach.

Czy rachunek ten zrobił przed kataklizmem 1go stycznia, czy po nim? to tylko on nam mógł wyjawić.

— Zaczekajmy — rzekł hrabia.

— Czekam, ale kipię — odpowiedział kapitan Servadac, nie mogący usiedzieć na miejscu.— Dałbym miesiąc mojego życia za każdą godzinę snu profesora Rosette!

— Możebyś pan źle na tem wyszedł — zauważył porucznik Prokop.

— Jakto? ażeby dowiedzieć się jaka przyszłość czeka nasz asteroid?...

— Nie chciałbym pozbawiać pana żadnych iluzyi, kapitanie — odrzekł porucznik Prokop — ale z tego, że profesor wiele wie o komecie Galii, nie wynika jeszcze, by nam wyjaśnić mógł odłam unoszący nas! Czy jest nawet jaka styczność między ukazaniem się komety na ziemskim widnokręgu, a rzuceniem w przestrzeń kawałka kuli ziemskiej?...

— Jest! do pioruna! — zawołał kapitan Servadac. — Jest styczność widoczna! Jasno jak dzień że...

— Że co? — przerwał hrabia, jak gdyby czekał na odpowiedź, jaką miał mu dać mówiący.

— Że ziemia została potrącona przez ko-

metę i że temu potrąceniu zawdzięczamy odłam, który nas unosi!

Przy tej hipotezie, stanowczo wypowiedzianej przez kapitana Servadac, hrabia i porucznik Prokop przez kilka chwil spoglądali na siebie. Spotkanie ziemi z kometą, chociaż nieprawdopodobne, nie było jednak niemożebnem. Uderzenie tego rodzaju było nareszcie wyjaśnieniem niepojętego dotąd fenomenu; była to właśnie owa dotąd nieodszukana przyczyna, której skutki okazały się tak niezwykłemi.

— Możesz pan mieć słuszność — odpowiedział porucznik Prokop, zapatrując się na kwestyę z tej samej strony. Być może, iż nastąpiło podobne uderzenie i mogło oderwać znaczny kawał ziemi. Jeżeli zaszedł fakt podobny, to ogromny krąg, który widzieliśmy następnej nocy po katastrofie, nie czem innem był jak tylko kometą, który zapewne zboczył ze swej normalnej drogi, ale którego szybkość była takąż, i ziemia nie mogła go powstrzymać w swoim atrakcyjnem centrze.

— Jest to jedyne wyjaśnienie obecności tej nieznanej gwiazdy — odrzekł kapitan Servadac.

— Jest to nowa hypoteza, która zdaje się być bardzo racyonalną — zauważył hrabia. — Zgadza ona nasze własne spostrzeżenia ze spostrzeżeniami profesora Rosette. A więc to błędnej tej gwieździe, której doznaliśmy uderzenia, nadał on nazwę Galii.

— To widoczna!

— Bardzo dobrze, kapitanie; jest jednak pewna rzecz, której nie mogę sobie wytłumaczyć.

— A to jakiej?

— Tej, że nasz uczony więcej zajmował się kometą, aniżeli odłamem, który go unosił w przestrzeni.

— O, hrabio! — odrzekł kapitan Servadac — pan wiesz jakimi oryginałami bywają niekiedy tacy fanatycy nauki, a mój profesor jest oryginałem pierwszorzędnym!

— Zresztą — zauważył porucznik Prokop — bardzo być może, że wyrachowanie elementów Galii zrobione było przed uderzeniem. Profesor mógł widzieć zbliżenie się komety i obserwować go przed katastrofą.

Uwaga porucznika Prokopa była słuszną. W każdym razie hypoteza kapitana przyjętą została w zasadzie. Wszystko więc redukowało się do tego: kometa, przecinając ekliptykę, potrącił o ziemię w nocy z 31. grudnia na 1. stycznia i uderzenie oddzieliło od kuli ziemskiej ogromny odłam, poruszający się od tego czasu w przestrzeni planetarnej.

Jeżeli członkowie akademii nauk w Galii nie pochwycili całej prawdy, to zdaje się, że przynajmniej byli niedaleko od niej.

Tylko Palmiryn Rosette mógł w zupełności rozwiązać zadanie.

ROZDZIAŁ II.

Którego ostatnie słowa zawiadamiają czytelnika o tem, co on już musiał bezwątpienia odgadnąć.

Tak się zakończył ów dzień 19. kwietnia. Podczas gdy naczelnicy rozprawiali w ten sposób, koloniści nie opuszczali zwykłych swych zajęć. Niespodziewane pojawienie się profesora na galickiej scenie nie wiele ich zajmowało. Spuszczając się na swych panów, nie bardzo zajmowali się oni przyczynami i skutkami. Czy Galia miała z czasem powrócić na ziemię, czy też ciągle mieli żyć na niej i co za tem idzie umrzeć, to ich wcale nie zaciekawiało. To też w nocy, która nastąpiła, nie stracili ani godziny snu i wypoczywali jak filozofowie, których nic wzruszyć nie zdoła.

Ben-Zuf, przeistoczony w szpitalnika, nie opuszczał łoża profesora Rosette. Zajął się nim i zobowiązał postawić go na nogi. Honor jego był zaangażowany. To też go doglądał! Jak liczył westchnienia! Jakie zadawał mu potężne krople kordyału przy każdej sposobności! Jak przysłuchiwał się wszystkim wyrazom, wylatującym mu z ust! Prawda nakazuje nam wyznać, iż wyraz Galia najczęściej dawał się słyszeć wśród niespokojnego snu profesora, z intonacyami przechodzącemi od niespokoju do gniewu. Czy Palmiryn Rosette śnił, iż chcą mu ukraść jego kometę, że zaprzeczano mu odkrycia Galii, że szykanowano go pod względem pierwszeństwa odkrycia i wyrachowań? Było to prawdopodobnem. Profesor był z tych ludzi, którzy śpiąc nawet się złoszczą.

Ale pomimo, że doglądający go był nader uważnym, z jego słów bez związku nie mógł jednak pochwycić nic, coby mogło rozwiązać główne zadanie. Profesor zaś, ze swojej strony, spał całą noc, i oddech jego zrazu lekki, przeszedł na stępnie w donośne chrapanie najlepszej wróżby.

Gdy słońce ukazało się na zachodnim horyzoncie Galii, Palmiryn Rosette spał jeszcze, a Ben-Zuf uznawał za właściwe nie przerywać mu snu. Zresztą w tej chwili uwaga ordynansa zwrócona była w inną stronę.

Przy głównych drzwiach, wiodących do Ula Niny, dało się słyszeć pukanie. Drzwi te służyły nie tylko do niewpuszczania nie proszonych gości, ale zabezpieczały od zimna zewnętrznego.

Ben-Zuf zamierzał opuścić na chwilę samego chorego, ale potem pomyślał, iż może mu się przysłyszało. Nie był on zresztą odźwiernym, a przytem znajdowało się wielu innych mogących drzwi otworzyć. Nie ruszył się więc.

Wszyscy spali jeszcze głębokim snem w Ulu Niny. Pukanie ozwało się znowu. Widocznie jakaś ożywiona istota uderzała twardem narzędziem.

— Do wszystkich kabylów! tego zawiele! — powiedział sam do siebie Ben-Zuf, — kto to może być?

I poszedł główną galeryą, a stanąwszy przy drzwiach, zapytał ostro:

— Kto tam?

— Ja — odpowiedziano mu łagodnym głosem.

— Co za — ja?

— Izaak Hakhabut.

— Czego chcesz, Astarocie?

— Chciałbym byś mi pan otworzył, panie Ben-Zuf.

— Czego chcesz? — Sprzedać towary?

— Pan wiesz, że nikt nie chce ich kupować!

— Więc idź do licha!

— Panie Ben-Zuf — zaczął znowu Izaak tonem błagalnym — chciałbym widzieć się z jego ekscelencyą gubernatorem.

— Gubernator śpi.

— Zaczekam aż się przebudzi.

— Więc czekaj tam gdzie jesteś, Abimelechu!

Ben-Zuf zamierzał już odejść bez ceremonii, gdy nadszedł kapitan Servadac, przebudzony hałasem.

— Co tam się stało, Ben-Zuf? — zapytał.

— Nic, albo prawie nic, panie kapitanie; to ten pies Hakhabut chce widzieć się z panem.

— Więc otwórz mu — rzekł Hektor Servadac. — Trzeba się dowiedzieć co go tu dziś sprowadza.

— Ba! własny interes.

— Więc wpuść go.

Ben-Zuf był posłuszny. Izaak Hakhabut, okryty starą swą opończą wszedł do galeryi. Kapitan Servadac powrócił do sali głównej, a żyd kroczył za nim, nadając najpochlebniejsze tytuły.

— Czego chcesz? — zapytał kapitan Servadac — patrząc mu ostro w oczy.

— Ach, panie gubernatorze! — zawołał Izaak — czy pan nie dowiedziałeś się nic nowego od kilku godzin?

— Więc to po nowiny przyszedłeś?

— Tak jest, panie gubernatorze i spodziewam się, że pan zechcesz uwiadomić mnie...

— O niczem nie uwiadomię cię, mości Izaaku, ponieważ sam nic nie wiem.

— A jednak nowa osoba przybyła wczoraj do Gorącej Ziemi.

— A! już wiesz o tem?

— Wiem, panie gubernatorze. Z mojego ubogiego statku widziałem łódkę udającą się w daleką podróż, potem powracającą. I zdawało mi się, że wynoszono z niej z wielkiemi ostrożnościami...

— Co?

— A oto — co, panie gubernatorze... prawda, że panowie sprowadziliście człowieka obcego.

— Którego znasz?

— O, tego nie mówię, panie gubernatorze... ale zawsze... chciałbym... życzyłbym sobie...

— Czego?

— Rozmówić się z tym człowiekiem, gdyż może przebywa on...

— Zkąd?

— Z północnych wybrzeży Śródziemnego morza, i można przypuszczać, że przynosi...

— Co przynosi?

— Wiadomości z Europy! — dokończył Izaak — chciwie wpatrując się w kapitana Servadac.

A więc po trzech i pół miesiącach pobytu na Galii Izaak jeszcze upierał się przy swojem. Przy jego temperamencie trudniej mu było, aniżeli komu innemu, wyrzec się moralnie rzeczy ziemskich, chociaż stało się to już materyalnie! Jeżeli był zmuszony do skonstatowania, ku wielkiemu swemu ubolewaniu, ukazania się fenomenów nie normalnych, jak skrócenie się dnia i nocy, zmiana punktów wschodu i zachodu, to zawsze, według jego wyobraźni działo się to wszystko na ziemi. To morze było zawsze Śródziemnem morzem! Jeżeli pewna część Afryki znikła niewątpliwie wśród jakiegoś kataklizmu, to Europa istniała w całości o kilkaset mil na północ! Mieszkańcy jej żyli jak przedtem; mógł więc jeszcze handlować, kupować, sprzedawać, frymarczyć! *Hanza* będzie pływać przy brzegach europejskich, w braku brzegu afrykańskiego — a on może nic nie straci na tej zamianie? Dla tego to Izaak Hakhabut nie tracąc czasu przybiegł, by w Ulu Niny zasięgnąć wiadomości z Europy.

Starać się przekonać Izaaka, pokonać jego upor — byłoby próżnym trudem. Kapitan Servadac nie myślał nawet próbować tego. Zresztą nie bardzo mu szło o wznowienie stosunków z tym renegatem, który mu był wstrętny. Usłyszawszy żądanie jego, ruszył tylko ramionami.

Jeszcze wyraźniej ruszył niemi Ben-Zuf. Ordynans słyszał żądanie sformułowane przez Izaaka i on to odpowiedział na nalegania Hakhabuta, od którego kapitan Servadac odwrócił się.

— Więc nie omyliłem się! — zawołał handlarz, którego wzrok rozognił się — wczoraj przybył tu ktoś!

— Przybył — odrzekł Ben-Zuf.

— Żywy?

— Tak się spodziewamy.

— A czy nie mogę wiedzieć, panie Ben-Zuf, z jakich okolic Europy przybywa ten podróżny?

— Z wysp Balearskich — odparł ordynans — chcąc wywiedzieć się do czego Izaak zmierza.

— Wyspy Balearskie! — zawołał tenże — piękny punkt dla handlu na Śródziemnem morzu! Niegdyś robiłem tam doskonałe interesa! *Hanza* dobrze była znaną na tym archipelagu.

— Zanadto dobrze.

— Ależ te wyspy są odległe wszystkiego o dwadzieścia pięć mil od hiszpańskich brzegów i niepodobna, by ten godny podróżnik nie przynosił wiadomości z Europy!

— Przywiózł, Manasesie — i udzieli ci wielce przyjemnych.

— Czy na-prawdę, panie Ben-Zuf?

— Naprawdę.

— Już ja nie będę zważał — zaczął znowu Izaak z wahaniem — nie... bez wątpienia... chociaż jestem człowiek ubogi... nie pożałuję kilku realów, byle rozmówić się z nim...

— O! co pożałować, to pożałujesz!

— No, tak... ale w każdym razie dam... z warunkiem, że rozmówię się z nim bezzwłocznie.

— A!...—powiedział Ben-Zuf. — Na nieszczęście nasz podróżnik jest bardzo zmęczony i spi.

— A gdyby go obudzić...

— Hakhabut! — rzekł natenczas kapitan Servadac — jeżeli ośmielisz się budzić tu kogokolwiek, to każę cię natychmiast wyrzucić za drzwi.

— Panie gubernatorze — powiedział Hakhabut tonem bardzo pokornym i błagalnym — chciałbym jednak dowiedzieć się...

— I dowiesz się — odparł kapitan Servadac. — Chciałbym nawet, byś był obecnym gdy nasz nowy towarzysz będzie nam udzielać wiadomości o Europie.

— I ja także, Ezechielu—dodał Ben-Zuf— gdyż chciałbym widzieć wtedy twoją wesołą minę.

Izaak Hakhabut nie czekał długo. W tej bowiem chwili Palmiryn Rosette zawołał głosem zniecierpliwionym.

Na to wołanie wszyscy zbiegli się do profesora: kapitan Servadac, hrabia, porucznik Prokop i Ben-Zuf, którego silna ręka z pewną trudnością powstrzymywała Hakhabuta.

Profesor dopiero na pół się przebudził i zapewne pod wpływem jakiegoś snu wołał:

— Józefie! niech cię licho porwie, ty, bydlę! Chodź tu, Józefie!

Widocznie, że musiał to być służący Palmiryna Rosette. Ale Józef przyjść nie mógł, zapewne z tego powodu, że jeszcze znajdował się na starym świecie. Uderzenie Galii rozdzieliło nagle i zapewne na zawsze, pana i sługę.

Tymczasem profesor przebudzał się powoli, wołając ciągle:

— Józefie! przeklęty Józefie! gdzie są moje drzwi?

— Drzwi pana są w miejscu bezpiecznem — odrzekł Ben-Zuf.

Palmiryn Rosette roztworzył oczy i począł wpatrywać się w ordynansa, marszcząc brwi.

— Czy ty jesteś Józefie? — zapytał.

— Do usług, panie Palmiryn — odrzekł najspokojniej Ben-Zuf.

— A więc, Józefie — zawołał profesor — podaj mi kawę... jak można najprędzej!

— Zaraz będzie! — odpowiedział Ben-Zuf i pobiegł do kuchni.

Tymczasem kapitan Servadac dopomagał Palmirynowi Rosette podnieść się.

— Kochany profesorze — powiedział mu— czyś poznał pan dawnego swego ucznia z liceum Karola W.?

— A, Servadac! tak! tak! — odrzekł Palmiryn Rosette. — Spodziewam się, że od kilkunastu lat poprawiłeś się pan.

— Najzupełniej! — odrzekł kapitan Servadac, śmiejąc się.

— To dobrze, dobrze! — rzekł Palmiryn Rosette. — Ale gdzież moja kawa? Bez kawy niemasz świężych myśli, a dziś potrzeba świeżych myśli!

Na szczęście nadszedł Ben-Zuf, przynosząc żądany napój: ogromną filiżankę z czarną gorącą kawą.

Po wypiciu jej Palmiryn Rosette wstał, przyodział się i wszedłszy do sali wspólnej spojrzał dokoła roztargnionem okiem, a potem ulokował się w krześle, najlepszem z tych, jakie sprowadzono z *Dobryny*.

Natenczas, chociaż zawsze jeszcze z miną nadąsaną, ale głosem, który przypominał owo *all right! va bene! nil desperandum!* rozpoczął w ten sposób:

— No, panowie! co powiecie o Galii?

Kapitan Servadac chciał przedewszystkiem zapytać, co to jest Galia, ale go uprzedził Izaak.

Na widok tego żyda brwi profesora znowu się zmarszczyły i tonem człowieka, któremu uchybiono — zawołał odpychając Izaaka:

— A to co?

— Nie zwracaj pan na to uwagi — powiedział Ben-Zuf.

Ale nie łatwo było powstrzymać Izaaka, ani też przeszkodzić mu mówić. Uparł się on przy swojem, bynajmniej nie uwzględniając obecnych.

— Panie — powiedział — w imieniu Boga Abrahama, Izaaka i Jakóba, udziel mi pan wiadomości o Europie!

Palmiryn Rosette zerwał się z krzesła, jak gdyby poruszony sprężyną.

— Wiadomości o Europie! — zawołał — on chce wiadomości o Europie!

— Tak... tak!... — odrzekł Izaak — chwytając się za krzesło profesora, by lepiej oprzeć się szturchańcom Ben-Zufa.

— A to na co? — zapytał Palmiryn Rosette.

— Ażeby powrócić tam!

— Powrócić tam!... którego dziś mamy? — zapytał profesor, zwracając się do byłego swego ucznia.

— Dziś jest 20ty kwietnia — odrzekł kapitan Serwadac.

— Otóż dziś, 20go kwietnia — zaczął znowu Palmiryn Rosette, którego czoło zdawało się rozpromieniać — dziś Europa znajduje się w odległości stu dwudziestu trzech milionów mil od nas!

Izaak Hakhabut przybrał minę człowieka, któremuby wyrywano serce.

— Jakto? — zapytał Palmiryn Rosette — więc tu nic nie wiadomo?

— Oto co jest wiadomem — odrzekł kapitan Servadac.

I w niewielu słowach opisał profesorowi sytuacyę. Opowiedział wszystko, co się wydarzyło od nocy 31 grudnia; jako *Dobryna* przedsiębrała wyprawę dla odkryć; jak odkryła co pozostało z dawnego kontynentu, to jest kilka punktów Tunisu, Sardynii, Gibraltaru, Formentery; jako trzykrotnie dokumenta bezimienne wpadły do rąk poszukiwaczów, jak nakoniec opuszczono wyspę Gurbi, by się przenieść na Gorącą Ziemię i z dawnego posterunku do Ula Niny.

Palmiryn Rosette słuchał tego opowiadania, nie bez pewnych oznak zniecierpliwienia. A gdy kapitan Servadac zakończył — zapytał:

— A więc, jak sądzicie, panowie, gdzie się znajdujecie?

— Na nowym asteroidzie, poruszającym się w świecie słonecznym — odrzekł kapitan Servadac.

— I według waszego zdania asteroid ten jest?

— Ogromnym odłamem, oderwanym od kuli ziemskiej.

— Oderwanym! a! oderwanym!... odłam ziemi!... a przez kogo, jak oderwany?

— Przez uderzenie komety, któremu, pan nadałeś nazwę Galii, kochany profesorze!

— Otoż nie, moi panowie! — zawołał Palmiryn Rosette — wstając — jest coś lepszego!

— Lepszego! — odparł żywo porucznik Prokop.

— Tak jest — powiedział profesor — tak! Prawdą jest, że nieznany kometa potrącił o ziemię w nocy z 31go grudnia na 1go stycznia, o godzinie drugiej minut czterdzieści siedm, sekund trzydzieści pięć i sześć dziesiątych rano, ale że tak powiem tylko musnął ją, pochwyciwszy kilka kawałków, któreście odszukali podczas waszej wycieczki!

— W takim razie — zawołał kapitan Servadac — znajdziemy się...

— Znajdziemy się na gwiaździe, którą nazwałem Galią, — odpowiedział z tryumfem Palmiryn Rosette. Znajdujemy się na moim komecie.

(C. d. n.)

POGADANKI O WŁOSZECH

HR. OLGI KOMOROWSKIEJ.

I.

Nagła, niespodziewana śmierć króla Wiktora Emanuela II., jak piorunem raziła ludność całego półwyspu. Zgon jego, zaszły 9. stycznia o wpół do trzeciej z południa w stolicy Włoch, przed wieczorem jeszcze wiadomym już był z jednego końca tegoż półwyspu w drugi; żałobna wieść obiegała ulice wszystkich miast, budząc jednogłośne pożałowania; uciszając spory stronnictw politycznych, chylących czoła przed prawdziwą zasługą ojca ojczyzny.

Pierwszy żal, gorączkowe niejako rozstrojenie umysłów wyższych sfer parlamentarnych, płomienne żądze burzycieli ukrytych, i urzędowe żałobne nabożeństwa skończone; każdy powraca z ostygłą krwią do roztrząsania przeszłości króla szlachcica. Umilkły dzwony żałobne, a rozpoczęła się krytyka; otarto łzy w rzeczy samej płynące na pogrzebie monarchy, który umiał w latach swego panowania, krótkich stosunkowo, utrzymać swą godność wobec narodu, którym rządził, zachowując ściśle w najdrobniejszych nawet szczegółach raz nadaną konstytucyę; a dać ją poznać sąsiednim, dbając o przyjazne ale nie służalcze stosunki z ich rządami. Z odgłosem dzwonów i hukiem dział, zwiastującym wstąpienie na tron drugiego z rzędu króla włoskiego, skończyły się więc żale; a na wielu ustach zarysował się uśmiech szyderski, świadczący niby, że tłumy również jak i pojedyńczy ludzie, działają nieco pod wpływem owczego naśladowania w złem lub dobrem; płaczą, widząc że dziesięciu chustkę podnosi do oczu, choć nie są przekonani, że owi dziesięciu nie chcą kichać tylko, lub ziewanie

ukryć, aby je dzienniki partyi przeciwnej na niekorzyść nie zapisały.

Bądź co bądź, pyszny pogrzeb Wiktora Emanuela był bez wątpienia wspaniałą demonstracyą narodową, która nas, obcych, nawet nie mogła zimnymi pozostawić; z urzędu naszego, korespondenta dwóch prowincyonalnych włoskich dzienników, na własne oczy przekonać mogliśmy się, że nietylko nakazana urzędowa żałoba mu towarzyszyła na ostatni spoczynek, ale prawdziwa, z serc płynąca. „Le roi est mort — vive le roi“, i król Humbert I. na twarzach swoich poddanych, obok rozczulenia i żalu po zgonie rodzica, mógł czytać również, czy to na polach Macao, czy w izbie poselskiej, ostrzeżenie i radę, albo iść w ślady ojcowskie, albo!!! ...To *albo*... zdaje on się pojmować choć obecnie sądzić jeszcze trudno, jak dalece zastosować się doń potrafi i zechce.

O życiu prywatnem Sabaudzkiego księcia wspominać tu nie będziemy; kamieniem rzucić na leżącego już w grobie człowieka, choćby monarchę, jest rzeczą zawsze niegodną; i niektóre małe, czerwone dzienniczki, albo z pod jezuickiej sukni wychylające główki rozczochrane pismidła partyi watykańskiej, zmuszonemi się ujrzały, brudne, kału pełne obwinienia, niezręcznie wyciągane z ciemnych czeluści osobistych nienawiści, ukryć jeszcze prędzej, niż te świat ujrzały; przyjęte bowiem zostały ogólnem oburzeniem, surowo, samą tylko opinią publiczną potępione.

Karty dziejów zapisały waleczne żołnierskie czyny kaprala Zuawów, stopnia, nadanego mu przez samychże walecznych pomocników oswobodzenia Włoch, i z wielką przyjemnością zawsze od króla Emanuela słyszanego. Krytycy chłodni utrzymują, i nie bez racyi może, iż wielkość jego w dwóch słowach określić można:

Był więcej szczęśliwym, niż miał zasługi.

Nie odejmuje mu to jednak tej, iż zawsze od wstąpienia swego na tron, aż do grobowej, jak to mówią, deski, umiał być uczciwym i sumiennym władcą.

Cały rozwój uwolnienia Włoch, od ruchów turyńskich począwszy, a skończywszy na wyłamanej Porta Pia, świadczy, iż łatwiej tu było, niż gdzie indziej dobić się do owej pożądanej wolności. Chęć zabawienia Francuzów, odwrócenia ich uwagi od wewnętrznych spraw kraju, więcej pewnie od osobistej jeszcze sympatyi, pchnęła cesarza do oswobodzenia swych sąsiadów; wojna prusko-austryacka i jej następstwa dały im Wenecyę; prusko-francuska dozwoliła Rzym uczynić stolicą zjednoczonego królestwa. Trochę dziś znów na miłostki germańskie za śmiało się liczy, aby odzyskać Niceę i Sabaudyę; a na komplikacye wschodnie, co dopomódz by mogły do ostatecznego zaokrąglenia się, prowincyą południowego Tyrolu i częścią Dalmacyi.

Cavour nie żyje; Garibaldi się zestarzał i romanse niby pisze; Wiktor Emanuel w Panteonie spoczywa. Na wspomnienie hrabiego Kamila Cavour każde czoło chyli się z uszanowaniem; Wiktora Emanuela 400,000 ludzi odprowadzało w dawnej stolicy władców świata do wrót wieczności; stary wojownik na Caprerze przeżył sam siebie.

Owo więc szczęście, w postaci zbiegu okoliczności przyjaznych, towarzyszyło życiu włoskiego króla; owo szczęście stanęło u wezgłowia ze śmiercią się pasującego monarchy, i szepnęło jakby na pociesenie: „Umierasz wielkim i płakać cię będą, zwąc ojcem ojczyzny; chwila jeszcze... a kto wie, czy blask dawnej świetności, osłabłe ciało i znękana może dusza człowieka podtrzymać będą mogły“.

Uśmiech na ustach trupa świadczył, że zrozumiał ostrzeżenie!

Ileż to razy śmierć nadeszła w porę, była nie karą, lecz nagrodą; ileż razy zimna jej ręka pieszczotnie jednak, macierzyńsko skleiła powieki; ile razy jej oddech lodowaty ochłodził spiekłe czoło wysilonych już bohaterów! Chwila jeszcze, a serca ich byłyby jej żądały, jako wybawienia. Czyż nie lepiej, że do czulej piastunki podobna, sama do snu ułożyła szczęśliwe, w blasku całej świetności dzieci ludzkie? a pod marmurowemi jej opiekuńczemi skrzydłami, w chwale swej owinięci przyświecają pokoleniom nauką, wspomnieniem.

A więc umrzeć w czas jest dobrem niezaprzeczonem; umrzeć za późno, jest to podwójny zgon mieć nad sobą; i ciężkie, ołowiane wieko trumny, pokrywa wówczas prawdziwego trupa.

Tysiączne anegdotki krążą już o zmarłym świeżo królu; wstrzymać się nie możemy, aby nie podać dwóch, malujących całe życie jego publiczne i prywatne; pierwsze, królewskiej godności strzeżące, drugie, sercem się zanadto rządzące. Za autentyczność ich ręczyć możemy, gdyż słyszeliśmy je z ust mistrza ceremonii hrabiego Finocchietti, od dawna towarzyszącego wszędzie nieodstępnie prawie swojemu panu.

Kiedy Wiktor Emanuel, jeszcze wówczas król sardyński, udał się był do stolicy Francyi w odwiedziny do jej cesarza; to ten uznał za dostateczne małego króla oczekiwać u szczytu wschodów, a nie na dole jak znaczniejszych mocarzy. Wiktor Emanuel stanął wraz z otaczającymi go dworzanami na pierwszym stopniu; i zatrzymał się tak długo, dopóki Napoleon, widząc że prorok nie przychodzi do góry, jako góra nie zdecydował się zejść do proroka. Tegoż samego dnia, kiedy się rozeszli do prywatnych komnat, król sardyński znalazł, iż tylko połowa drzwi a nie całe podwoje rozwarte przed nim zostały; obrócił się do hrabiego Clavy, przydanego mu od cesarza, i rzekł z dobrodusznym uśmiechem:

„Je ne suis pas assez mince pour passez par la petite porte, il me la faut ouverte à deux battants.“

I rozkazał szambelanom, aby i drugą połowę rozwarli.

Jako król włoski, kiedy już w Kwirynale zamieszkał, co rana, pieszo, w towarzystwie dwóch najwięcej dworzan, lubił się przechadzać w okolicy; i każdego poranku na wschodach kościoła S. Vitale, młody, ułomny żebrak, natarczywie dłoń wyciągał do monarchy, który nigdy mu nie odmawiał obfitej jałmużny. Jeden z dworzan śledził obdarowanego włóczęgę i widział jak ten w sąsiedniej winiarni wychylał za te pieniądze, pękate flaszki wina, zabawiając się grą w „morę“. Wspomniał o tem królowi: „Cóż chcesz, mój kochany hrabio! — wyrzekł smętnie Wiktor Emanuel — tak mi przypomina mojego biednego Ottona, że się wstrzymać nie mogę“.

Ów biedny Otton, drugi z rzędu syn królewski, młodzieniaszkiem jeszcze, z powodu wątłego zdrowia i ciężkiej ułomności, zmarł po długiej chorobie.

(C. d. n.)

Z ALBUMU HALINY.

Dwa życia naszem są dzisiaj istnieniem:
„Przeszłość i przyszłość“, tam ból, tu nadzieje,
Tam łza żałoby płynie nad cierpieniem,
Tu przedświt szczęścia w drżącej duszy dnieje.

Jeśli w radości, lub jeśli w boleści
Wezbrane serce wylewam na kartę,
Nie szukaj zasług w pieśni moich treści,
To ból i rozkosz i łono otwarte.

Co się z mej duszy dobywa ukrycia,
Nie chciej to wieszczem nazywać natchnieniem,
Cząstki z naszego to wydarte życia
Łzą i krwią naszą i nadziei tchnieniem.

Lwów 27 marca 1849.

Mikołaj B. Antoniewicz.

. . . .

O widoku godny bogów!
Naród dzielny, mocą woli
Wydobyty z jarzma wrogów,
Oddycha z ciężkiej niewoli.
O uroku wolności
W pierwotnym rozkwicie!
O ty serca nowe życie,
Życie męstwa, życie sławy!
O ty dziecinna ufności
W siłę własną, w świętość sprawy,
W udział i ludzi i samego nieba,
By cię pojąć, doznać trzeba!

Aleksander Fredro.

PANNA KAPITANÓWNA

przez

MARKA POLNICZA.

(Ciąg dalszy.)

X.

W niespełna kwandrans powrócił.

— Nie, Florku — twój projekt nie ma sensu.

— A to dla czego?

— Przecież całe życie nie będę mógł waryata udawać... On każe córce czekać na moje wyzdrowienie.

— Waryuj tak długo dopóki za mąż nie pójdzie.

— Bagatela!... może parę miesięcy, może rok albo i dłużej! Jakbym tak długo waryata udawał, tobym w końcu w samej rzeczy zwaryował... A zresztą, coby sobie ludzie o mnie pomyśleli!

— Żeś waryat, prosta rzecz.

— Dziękuję ci!

— Cóż ci to szkodzi?

— A! jesteś wyborny! zepsułbym sobie całe życie; któraż panna poszłaby potem za mnie! za waryata!... A wiesz, że mnie się potrzeba bogato ożenić. A co za fatalna pozycya między ludźmi! wszyscyby tylko palcami mnie wytykali: to ten co był u czubków! szeptaliby do siebie na ucho. Piękna rzecz!... nie, nie, nie chcę! za nic w świecie! Wymyśl co innego.

Florek się zadumał, na argumenta Mikołaja w samej rzeczy nie było odpowiedzi... Ale nie długo się namyślał, snadź miał projekt gotowy.

— Nie potrzebowałbyś długo waryować — rzekł wreszcie. — Parę dni. Idzie tylko o to, abyś w tem waryactwie stał się powodem skompromitowania się panny z kim innym, tak, aby się to potem odrobić nie dało...

— Nic nie rozumiem.

— Ot, widzisz, tak np.: Zwarjujesz i jako waryat zamkniesz mnie z panną w jednym pokoju, tak, aby nikt o tem nie wiedział, co się z nami stało i gdzieśmy się podzieli... Ciebie odwiozą do szpitala, panny będą szukać napróżno i znajdą ją wreszcie po kilku godzinach, albo dopiero nażajutrz zamkniętą razem ze mną... a klucz w twojej kieszeni...

— Cha, cha, cha! a toś sprytnie wykombinował!... niech cię kaci!... Ale nie, ja waryować nie będę, nie! Niech cię kto inny zamyka z panną Dziunią...

— Miejże rozum Mikołajku i słuchaj mojej rady! Ty się boisz, aby cię potem ludzie nie okrzyczeli waryatem. Doktor wypuści cię bezzwłocznie, bo ja mu powiem, żeś ty tylko po pijanemu udawał waryata. Wyjedziesz ze Lwowa, a Dziunię będą musieli mi dać, a po naszym ślubie ja sam wszystkim ogłoszę, żeś ty to dla mnie zrobił z przyjaźni...

— A to krętacz z ciebie!... Nie, nie śliczny to plan, ale ja nie chcę się tego podjąć... Któż tam wie, coby kapitan zrobił jakby się wydało?... Niech się kto inny tej roli podejmie...

— Kto inny?... kto inny?... hm, wiesz co i takby zrobić można?... Ale kto? tu sęk!... Powiedz mi, co to za figura ten twój kuzyn Kalasanty, o którym mi wspominałeś?

Mikołaj na to zapytanie wybuchnął szalonym śmiechem.

— Cha, cha, cha! Dla niego to właśnie rola odpowiednia udawać waryata! cha, cha, cha! nie można lepiej wymyśleć! cha, cha, cha!

— Czemuż się śmiejesz?

— Cha, cha, cha! Wyborny z niego będzie doktor! Byle zechciał podjąć się tej roli. Wątpię.

— Masz wpływ jaki na niego?

— Najzupełniejszy.

— Czemuż zatem wątpisz?

— Chodź, poznam cię z nim. Obaczysz.

— Ja go namówię.

XI.

Pan Kalasanty, cioteczny jakiś stryjaszek, a jedyny krewny pana Mikołaja, były profesor *greki* przy któremś z gimnazyów krajowych, był to człowiek około pięćdziesięciu lat mający, drobnej postaci, zgarbiony, chudy jak szczypa, żółtawej cery, z twarzą zawiędłą i pomarszczoną, której dolną część przyozdabiała krótko ostrzyżona, do twardej szczotki podobna broda, po jednej stronie rzadka, szpakowata, jak włosy na głowie, po drugiej gęsta zupełnie, prawie siwa. Brodę tę skubał nieustannie z pewną namiętnością pan Kalasanty, ile razy się pogrążył w zadumie, co mu się często zdarzało; gdy się zaś ożywił w rozmowie, gestykulował gwałtownie chudemi palcami, których długie paznokcie kolorem swoich brzegów świadczyły niezbyt korzystnie o estetycznym smaku właściciela. Mniej jeszcze zalecał tę stronę duszy profesorskiej zaniedbany jego ubiór: granatowa kamizelka, szafirowa krawatka i ciemno-zielony, wyszarzany surdut z dużemi, manszestrowemi klapami u kołnierza. Postać jego dziwaczna, mimo tych stron ujemnych nie czyniła jednak niemiłego wrażenia: na twarzy rozlany był wyraz jakiś łagodności czy dobroduszności, a szeroko rozcięte usta o wąskiej wardze, okolone krótko-przystrzyżonym wąsem, wyrażały wewnętrzne niby zadowolenie kontemplacyjnego umysłu, dziwnie jednak kontrastujące z siwemi oczyma, które zdawały się unikać ludzkiego wzroku, niespokojnie biegając w orbitach, a gdy z kim rozmawiał, zwykle w dół były spuszczone.

— Mój Kalasanty — rzekł do niego Mikołaj, przedstawiwszy mu Florka — przyszedłem tu do ciebie z moim przyjacielem, aby z tobą pomówić o ważnej rzeczy.

— O ważnej rzeczy, pomówić o ważnej rzeczy...—powtórzył bezmyślnie profesor spuszczając powieki.

— Mamy panu zrobić nieco oryginalną propozycyę.

— Propozycyę...

— Możesz mi być pożytecznym. Słuchasz mnie.

— Słucham.

— Ale słuchaj uważnie, bo to ważna rzecz.

— Słucham uważnie.

Podniósł oczy na Mikołaja i spuścił je co prędzej.

— Otóż, przyznam ci się otwarcie, że pragnąłbym, aby zamierzone moje małżeństwo z panną kapitanówną...

— Ja ci już winszowałem! — przerwał szybko profesor takim tonem, jakby usłyszał zarzut za karygodne zaniedbanie jakiego obowiązku.

— Winszowałeś! — odparł Mikołaj dobitnie — ale ja dowiedziałem się, że panna nie ma nic i pragnąłbym... ale ty mnie nie słuchasz!

— Słucham — odrzekł profesor głucho, skubiąc brodę, zatopiony w myślach.

— Kalasanty! — krzyknął gniewnie Mikołaj. — Nie myśl o tem, o czem myślisz, ale...

— Ja nie myślę o tem, o czem myślę, ale... — automatycznie odezwał się profesor.

— Bałwan! — mruknął zniecierpliwiony Mikołaj, wzruszając ramionami i spojrzał wzrokiem porozumienia na Florka.

— Hej! Kalasanty! — i wstrząsnął nim Mikołaj chwytając go oburącz.

— Ja myślę starać się o profesurę — odparł profesor jakby ze snu obudzony — ja dłużej nie będę siedzieć w Leśnej Wólce. Po co ja ci mam być ciężarem... tem bardziej jak się ożenisz...

— Otóż ja nie chcę się żenić z kapitanówną! — przerwał Mikołaj krzycząc mu nad uchem.

— Nie chcesz... nie chcesz... Dla czego?

— Mówiłem ci, że dla tego, że nic nie ma..

— Nic nie ma... a! to co innego. Nic nie ma. To tak jak ja... Ale ja nie będę siedzieć na łasce w Leśnej Wólce...

— O tem potem. A teraz słuchaj: Ojciec panny jest impetyk... furyat...

— Furyat!... — powtórzył ze zgrozą profesor.

— A ja oświadczywszy się już, boję się teraz zerwać, aby się na jego wściekłość nie narazić, bo on gotówby mi kości połamać jakby wpadł w pasyę...

— Kości połamać!...

Profesor wstrząsnął się, jakby dreszczem przejęty. Mikołaj mówił dalej:

— Obmyśleliśmy zatem z przyjacielem moim sposób, aby się gładko z całego kłopotu wydobyć. Ale ty mi musisz być w tem pomocnym. Rozumiesz? Musisz przyjąć na siebie pewną rolę...

— Pewną rolę?... Dobrze, dobrze, ja zrobię wszystko co każesz... ja wiem, żem ci się powinien odwdzięczyć za kawałek chleba... ja wszystko dla ciebie zrobię, mój Mikołajku... ale ja nie będę siedzieć w Leśnej Wólce... bo ja...

— Otóż trzeba, abyś odegrał pewną komedyę...

— Dobrze, odegram pewną komedyę...

— Uważaj: Florek się kocha w pannie, a ona w nim, ale kapitan nie chce mu jej dać. Otóż w dzień ślubu, jak wszyscy goście będą już zgromadzeni, zamkniesz pannę w alkierzu na klucz razem z Florkiem.. tak, aby tego narazie nie spostrzeżono. Panna będzie skompromitowaną, a ja będę mógł się cofnąć...

— A mnie kapitan kości połamie... Ja nie chcę.

— Otóż, aby ci kości nie połamał, udasz żeś zwaryował...

Profesor wzdrygnął się na tę propozycyę.

— Ja? — zawołał przerażony — ja mam udawać, żem zwaryował?...

— Cóż ci to szkodzi?...

— Ty żartujesz...

— Nie żartuję wcale. Cóż ci to szkodzi?...

— Wstyd... — szepnął profesor lakonicznie i spuścił oczy.

Mikołaj szepnął mu coś na ucho. Profesor poczerwieniał na twarzy i patrząc przed siebie w ziemię, prawą ręką jął skubać brodę co siły.

— Ja wiem, ılem tobie winien, Mikołaju, ale ja tego nie zrobię. Ja ci nie będę dłużej ciężarem. Po co ja mam siedzieć u ciebie, kiedy ja mogę przecie wystarać się o profesurę.

— Ja ci sam dopomogę — odrzekł Mikołaj widocznie zniecierpliwiony i pojedziesz dokąd ci się podoba.. ale nie odmawiaj mi tej przysługi, mój Kalasanty! jak mnie kochasz!

— Jak ty mi potrafisz dopomódz? ty?... Puść mnie tylko z Leśnej Wólki... bo mi to przykro, żem ja ci ciężarem..

— Puszczę cię — a Florek ci dopomoże, abyś odzyskał twoją posadę. On ma wpływy jako dziennikarz...

— Dopomoże mi pan?...

— Ile będę mógł.

— Bo to widzi pan, są pewne przeszkody... przesądy ludzkie... uprzedzenia...

— A z jakichże powodów pan dobrodziej utraciłeś swoją profesurę?

Profesor spuścił oczy. Mikołaj mrugnął znacząco na Florka, aby o to nie pytał.

— No — odezwał się do Kalasantego — zrób to dla mnie, a wszystko będzie dobrze.

— Kiedy ja się wstydzę! — szepnął zniżonym głosem profesor. I dodał po chwili: A jak się dowiedzą, to będzie mi to nową przeszkodą...

— Ależ, panie profesorze — odezwał się Florek — idzie tylko o to, aby w ten sposób uchronić się od pierwszego impetu kapitana. Przecież za kilka dni, a może jeszcze tego samego dnia wszyscy będą wiedzieli, że pan tylko udawałeś waryata.

— Wszyscy będą wiedzieli, że ja tylko udawałem waryata! — powtórzył profesor wesoło.

— Tu idzie o szczęście pańskiego krewnego i o moje. Będziemy panu wdzięczni całe życie!

— Puścisz mnie z Leśnej Wólki? — zapytał stary swego siostrzeńca.

— I dam ci jeszcze sto guldenów na drogę!

— No, niechże i tak będzie! — rzekł po chwili ze śmiechem. I chcąc sobie uprzytomnić czego od niego żądają, wyrecytował dobitnie, jak student wydający lekcyę: Ja będę udawał, żem zwaryował i zamknę tego pana z twoją narzeczoną w alkierzu, tak, aby ludzie nie wiedzieli, gdzie się oni podzieli.. che, che! we dwoje!... a sam będę udawał waryata... che, che! to będzie zabawne!.. (C. d. n.)

KRYTYKA.

Polacy w południowo-zachodnim kraju: ustęp tomu VII. dzieła p. t. Prace etnograficzno-statystycznej ekspedycyi do zachodnio-russkiego kraju.

(*Ciąg dalszy.*)

Po wyswobodzeniu, miejsce podstępów zajęło ściśle określone i energicznie zastosowane prawo. Szlachcic wielki i mały, *de jure i de facto,* zrobił się panem; chłop poszedł w poddaństwo. Nastąpił rozdział społeczny wyraźny i stał się ten fenomen, że szlachta, która pod panowaniem polskiem była w połowie, jeżeli nie więcej, ruską (ruską nie russką, nie moskiewską), pod panowaniem russkiem opolaczała. Jestże w tem co tak bardzo dziwnego? Pp.: Józefowicz, Antonowicz, a z nimi Czubiński, Michalczuk i wszyscy, śpiewający hymn wyswobodzenia na nutę patryotyzmu russkiego, opatrzonego stęplem moskiewskim, nie mogą dosyć fenomenowi temu nadziwić się, tem bardziej, że majątkowe położenie szlachty ogro-

mnie się od razu polepszyło. Polepszenie to sprawił rząd moskiewski. Przez samę przeto wdzięczność szlachta powinna się była od polonizmu odstrychnąć, a przynajmniej stać twardo przy władzy, która ją udobrodziejstwowała. Stało się jednak inaczej, a to jak wyżej wymienieni panowie tłumaczą, wskutek błędu, jakiego rząd się dopuścił, osłaniając protekcyą swoją katolicyzm i nie odbierając z rąk szlachty sądownictwa i edukacyi, a pozostawiając statut litewski.

Zauważymy tu, że błędu tego, jakiego się rząd dopuścił, nie dopuścić się nie mógł, z tej przyczyny bardzo naturalnej, że nie wiedział jeszcze o tem, że Ruś „wyswobodził,“ a tego był przekonania, że ją „zabrał.“ To przekonanie modyfikować się poczęło nie dawniej, jak lat temu trzydzieści, to jest, od chwili jak Ruś wydawać zaczęła patryotów, basujących Moskalom.

Na błędzie, według patryotów tych, rząd spostrzegł się w roku 1831. Powstanie owoczesne oczy mu otworzyło. Zwrócił się przeciwko katolicyzmowi i żywiołowi polskiemu z energią wielką i zarządził szereg środków mających na celu obalenie polonizmu: sądownictwo z wyborczego przerobił na biurokratyczne, szkoły zrussyfikował, duchowieństwo wziął w kluby, wydał ukaz o małżeństwach mięszanych. Statut usunął zmieniając go *Swodem zakonów*, szlachcie pozostawił jeno prawa dziedziczne i reprezentacyę stanową. „Unia — powiada p. Mich. — wynaleziona przez jezuitów, jako przemocą wprowadzona i nie zaszczepiona w narodzie, upadła.“

Unia upadła pod ciosami, jakie jej zadała przemoc wyraźniejsza i gwałtowniejsza, aniżeli ta, co ją wprowadziła. W odniesieniu do tego p. Michalczuk rozminął się z historyczną prawdą. Nie upadła ona sama przez się, ale zwaloną została w taki sam sposób, jak w oczach naszych na Podlasiu. Zwalenie jej atoli, równie jak wprowadzenie wszystkich wyżej wymienionych środków, do celu nie doprowadziło. Opolaczenie kraju w szlacheckiej warstwie trzymało się, a trzymało się dla tego, że — jak objaśnia p. Woronów, powołany w tym względzie na świadectwo — czerpało racyą bytu swego w kilku, częścią nie usuniętych, częścią na nowo popełnionych błędach. Do nieusuniętych należało poddaństwo (*kriepostnoje prawo*); do nowo popełnionych, zalanie Rusi czynownikami, wyrzutkami moskiewskiego społeczeństwa, w ręce których dostały się administracya, policya i sądownictwo*). Do nowo popełnionych p. W. zalicza także uregulowanie bytu duchowieństwa prawosławnego, któremu chłopi zobowiązani zostali obrabiać grunta. W ten sposób chłop dostał się pod ucisk potrójny: pański, czynowniczy i popowski; pana, czynownika i popa uważał zarówno za wroga. Szlachta zajmowała stanowisko wyosobione, zawsze polskie. Lud wierzył w *Białego Cara* i wiara ta stanowiła jedyne w smutnej jego doli pocieszenie, aż przyszło powstanie r. 1863 i cały porządek rzeczy zmieniło na lepsze przez to, że rząd wszedł nareszcie na drogę prawdziwie racyonalną.

Taką konkluzyą kończy się szkic historyczny opolaczenia kraju. Jako rzecz ciekawą w szkicu tym zaznaczamy wyznanie o wyrzutkach społeczeństwa moskiewskiego, nasłanych do kraju na czynowników. P. W. nazywa ich bez ceremonii „czynowniczą hordą,“ która psuła z gruntu dobre intencye rządu. Tak się rzecz miała w istocie, jeżeli na miejsce wyrazów „dobre intencye“ podstawimy wyraz „widoki,“ które się nie urzeczywistniły, nie dla tego bynajmniej, że czynownicy stanowili „hordę,“ i nie dla tego, że poddańcze prawo zachowało się w nietykalności z dodatkiem pańszczyznianej powinności względem popów, i nie dla wszelkich innych przyczyn, które p. W. przytacza, a które my pomijamy, jako podrzędne, ale dla tej głównej i jedynej przyczyny, że polonizm na Rusi znajdował się u siebie, w domu, w gnieździe własnem, że go tam wprowadziła i zaszczepiła nie przemoc, nie misterna kombinacya sposobów wydzierczych, ale przewaga kultury polskiej, będącej wytworem spólnym tak Rusinów, jak Mazurów, takim zupełnie, jakim jest wytwór kultury, np. francuskiej, na którą złożyli się Pikardowie, Auwerniacy, Bretoni, Gaskończycy. Z tej to głównej i jedynej przyczyny polonizm był i jest trudnym, bardzo trudnym do wyrugowania z Rusi. On tam wzrastał, on się tam rozwijał, on ztamtąd soki żywotne czerpał, zostawiając pole swobodne rusinizmowi, który gdyby posiadał był w sobie zasoby odpowiednie, mógł był w Polsce na pierwsze wysforować się miejsce, mógł zająć stanowisko dominujące. Polonizm mu w tem przeszkód rozmyślnych nie stawiał, ani pod panowaniem polskiem, ani pod moskiewskiem; a nie tylko przeszkód nie stawiał, ale nawet, kiedy za sprawą i przyczynkiem jego zasada narodowościowa prawo obywatelstwa w mieście uzyskała, on pierwszy Rusinom o rusinizmie podszepnął. Polacy najpierwsi, wychodząc z zasadniczych właściwości ustroju państwowego Rzeczypospolitej polskiej, prawa Rusi podnieśli i na widoku postawili. Oni też, także najpierwsi, o prawa ludowe się upomnieli. To ostatnie wyszło z „kółka Kościuszkowskiego,“ które p. Dragomanów nazywa „liczebnie nikczemnem“ (*czislenno nicztożnyj kružok*) i szło przez również *nicztożne* spiski, tajemne stowarzyszenia i jawne powstania, kończące się na szubienicach, na placach rozstrzeliwań, po kopalniach, więzieniach, w aresztanckich rotach, w szeregach sałdackich — szło, aż w końcu wydarło rządowi moskiewskiemu uwolnienie i uwłaszczenie ludu. Uwolnienie i uwłaszczenie ludu jest dziełem polonizmu, który bez wstrętu zasady demokratyczne przyjął i szczepił takowe śród szlachty polskiej na Rusi. On je rządowi wydarł — powtarzamy, a na świadectwo, że tak jest, powołać możemy panowanie Mikołaja I, który całe swoje wytężał siły w celu wytępienia zarazy demokratycznej w guberniach zachodnich. I nie dokazał tego. Aleksander II zmuszony był wprowadzić w życie to, co stanowiło jednę z najważniejszych części programu demokratycznego polskiego i za co Polacy strumieniami krew lali. Posady przeto polonizmu na Rusi wchodzą w grunt dosyć głęboko i dla tego to mikołajowskie represyjne środki nie wyrzuciły go ztamtąd. Pewni jesteśmy, że i środki aleksandrowskie, będące nie czem innem, jeno spotęgowaniem mikołajowskich, nie do innych doprowadzą rezultatów.

Pan Michalczuk, Woronów, Czubiński i inni w błędach rządu szukają przyczyn opolaczenia szlachty, dając do zrozumienia, że błędy te wywoływane były przez szlachtę samą — przez „intrygę polską.“ Jaśniej aniżeli oni na tę rzecz zapatruje się profesor Dragomanów. Oto słowa jego (*Wiestnik Europy*): „W tym procesie, który się nazywa „opolaczeniem“ zachodniej Rusi, nie było w ten sposób żadnej „polskiej intrygi“ (w ogóle wyjaśnianie za pomocą takich *Deus ex machina* społecznych przejawów wykazuje nicość historycznego wykształcenia); był to proces naturalny, spełniający się siłą idei, jakie we wiadomym czasie dominowały wszędzie. Wedle tych idei panowie tylko uważali się za polityczny naród — panowie też wszelakimi sposobami starali się oddalić od narodu; cóż dziwnego, że pan polski starał się mówić po łacinie, że za nim szedł pan ruski, który mówił po polsku — jak później on i inni mówili po francusku, że nawet poprzedni rząd russki (czyli moskiewski), zastawszy w zachodnim kraju większość panów polskich, wewnętrznie szczerze uważał kraj ten za polski? Cóż dziwnego, że państwo, które samo opierało się na posadach poddańczego prawa, podtrzymało, nie zaś osłabiło władzę polskiego pana nad chłopem ruskim? Sam jeden oficyalny russycyzm rządów Katarzyny II w nic się obracał we względzie wpływu swego, w obec takiego silnego w opolaczeniu kraju środka, jak *kriepostnoje prawo i dworianskaja hramota*. Cóż dziwnego, że i russycyzm ten wszędzie ustąpił, że ci, co w XVIII jeszcze wieku byli prawosławni, szlachcice zlewali się dalej z polskimi, że nawet same duchowieństwo prawosławne, i to w ostatnich czasach, mówiło po polsku w rodzinnych kółkach, dla tego, że Wielkoruś daleko, po rusku mówią tylko chłopi, a okoliczni panowie, tj. jedyni „ludzie porządni,“ są to Polacy? Nic zadziwiającego nie ma i w tem, że mianowicie po przyłączeniu, w końcu zeszłego wieku, zachodniego kraju do rossyjskiej imperyi, niknie tam stopniowo russki katolicyzm, russki protestantyzm, nawet russki uniatyzm i wszystko nie-chłopskie, to nawet, co przedtem, jak kalwiniści, wrogo się odnosiło względem polskiego państwa, zostaje samo polskiem i dążyć poczyna do odbudowania Polski.“

Szanowny profesor wyjaśnia proces dosyć trafnie, ale jednostronnie, nie widząc, bo widzieć nie chcąc demokratycznego zaczynu, którego polonizm stał się, że tak powiemy, naczyniem, a który niby nić czerwona, przewija się przez ciąg cały dziejów polskich, rozsnuwających się na podstawie gminowładztwa szlacheckiego. W ogóle, zauważyć tu mimochodem musimy, że demokratyzm polski, który za czasów Mikołajowskich stanowił zbrodnię stanu zarzucaną Polakom, obecnie umyślnie jest prześlepianym, zamilczanym i zacieranym, przez Polaków nawet. Historycy krakowscy stańczykowskiej szkoły wtorują w tem oficyalnym i półoficyalnym pisarzom moskiewskim i na oficyalny ton nastrojonym historykom russkim. Czyżby mikołajowscy ludzie jaśniejszy na rzeczy mieli pogląd, aniżeli dzisiejsi? Nie, nie to. Zjawisko to tłumaczy się inaczej. Reformy aleksandrowskie opierają się na zasadach, które za czasów mikołajowskich służyły Polakom za oręż do odbudowania Polski, czyli wyraźniej mówiąc, Aleksander II na drodze reformatorskiej nie miał celu ważniejszego, jak tylko wytrącenie Polakom oręża z rąk. Czy celu tego dopiął — nie wiemy jeszcze. Nastawienie się to atoli oddziałało na umysły i wytworzyło światło fałszywe w sądach. Nie widzą, czego widzieć nie chcą.

(C. d. n.)

Zygmunt Miłkowski.

---

*) ...i oświata — dodajemy ze swojej strony. Pamiętamy, jakie to po 1831 r. indywidua obejmowały katedry po gimnazyach niepokasowanych: pijacy, szulerzy, złodzieje, nie kwalifikowani zgoła do wykładania przedmiotów, których nauczali.

*

Piśmiennictwo polskie.

(*Sewer: Wydziedziczone, powieść. Warszawa, 1877. Na pobojowisku, epizod z wojny 1871. Lwów. 1877.*)

(*Dokończenie*)

Gotów powiedzieć, ale nie powiada, bo o to podnosi się prokurator, którego także trzeba wysłuchać. Prokurator przemawia: Słyszeliście świetną obronę, której panu adwokatowi muszę z tego miejsca powinszować. Ale musicie pamiętać o tem, jakie ma znaczenie wasz wyrok. Dotyczy on nietylko losów oskarżonej jednostki, ale i całego społeczeństwa. Wyrok wasz uniewinniający stanie się zarazem nowem prawem dla społeczeństwa. Obalicie jednę z tych zasad, na których europejskie społeczeństwa, a nasze (angielskie) przedewszystkiem opiera się, jak się opiera na baryerze człowiek idący nad przepaścią. Dość zrobić mały wyłom w tej baryerze, aby narazić słabszych przechodniów na zawrót głowy i upadek. Wyrok wasz uniewinniający będzie tym wyłomem. Prostytucya zacznie graniczyć z bohaterstwem i będzie się mogła drapować nieraz w nazwę „męczeństwa upadku". Trudno wam będzie potem odróżnić nierządnicę od męczennicy. Chrystus wprawdzie uniewinnił Magdalenę, ponieważ wiele kochała, ale czyż Lizeta przez miłość upadła? Czyż możecie uwierzyć, aby miłość dla Fanny była w niej tak silną, aby mogła ją sama skłonić do upadku? Nie, działała tam także złość do świata, nędza, głód. Otóż głód, moi panowie, jest to kawaler, który się często przechadza i spotyka z takiemi, jak Lizeta, dziewczętami. Jeśli na tej podstawie uniewinnicie Lizetę, to otworzycie na oścież bramę do występku.

Pan prokurator dalej jeszcze przemawia w tym samym duchu, a gdy skończył, wstaje czytelnik znowu, przykłada rękę do piersi i powiada: Zaprawdę kocham Lizetę, gardzę profesorem Stone, postąpiłbym tak jak Maxwell, ale jeżeli mam zawyrokować, jako sędzia przysięgły, to nie mogę powiedzieć: niewinna.

Po dłuższem zastanowieniu ma czytelnik zrobić jeszcze zarzut — już nie Lizecie, ale samemu autorowi, dlaczego kosztem Lizety upośledził Fanny. Bo trzeba wiedzieć, że czuła, nieszczęśliwa i dobra z początku Fanny, Fanny, która ustrzegła się hańby, pod koniec staje się niewdzięczną, chciwą, złą jednem słowem, a to jakby dlatego tylko, żeby tem jaśniejszą wydała się przy niej Lizeta.

Co się tyczy samego opowiadania, odznacza się ono nadzwyczajną, czasami jakby gorączkową dramatycznością, która zresztą nadaje się zupełnie do tak dramatycznego tematu, jakim jest historya Lizety. Krótkie, urywane okresy zdają się spieszyć i biedz pędem w stronę opowiadanego zdarzenia. O znajomości obyczajowej strony angielskiego społeczeństwa nie będę mówił, bo znam je tylko ze źródeł tego samego rzędu co powieść pana Sewera. Ale głębokiej znajomości serca ludzkiego, dowodzi autor na każdej stronnicy. Subtelny umysł jego spostrzegawczy umie pochwycić najdelikatniejsze odcienia uczuć.

„Na pobojowisku", jest jakby urywkiem z wojennego pamiętnika. Autor widocznie używa słowa „pobojowisko" w innem znaczeniu, niż jak go zwykle używają. Pobojowisko w zwykłem znaczeniu oznacza miejsce, na którem się już bitwa rozegrała, tymczasem u p. Sewera oznacza ono właściwie miejsce toczącej się walki, czyli teatr wojenny, który, gdyby go w czysto-polski wyraz koniecznie trzeba było przebrać, mógłby się chyba nazwać „Bojowiskiem". Ale mniejsza o tytuł, rzecz sama jest bardzo zajmującą i powtarzam, jakby wyrwaną z pamiętnika.

Patrzał że autor własnemi oczyma na to, co opisywał? Nie wiem, ale jeżeli sam tego nie widział, to musiał słyszeć wyborne jakieś i szczegółowe opowiadanie, taką żywością bowiem i dokładnością przedstawienia odznacza się rzecz jego, że trudno uwierzyć, aby była osnutą na kanwie nawpół fantastycznej.

Opowiedziane tu są losy wojenne pewnego oddziału francuskiego, rzuconego o dwanaście mil od głównej armii dla sprawienia dywersyi. Prawie wszyscy oficerowie są tu Polacy i dowódca generał jest Polakiem. Autor nie nazywa go, ale któż się w nim nie domyśli dzielnego Bosaka? Otóż oddział ten, zagrożony zupełnem odcięciem od głównej armii, przerzyna się szczęśliwie przez nadciągające kolumny nieprzyjacielskie, przyprawia o wielkie straty niespodzianie zaskoczonego z boku nieprzyjaciela, i łączy się z armią południową, która tymczasem dzięki sprawionej przez polskiego generała dywersyi odparła Niemców z pod Dijon. Ale szczęśliwa przeprawa oddziału kończy się nieszczęśliwie śmiercią wodza, (Bosaka), który niebawem po połączeniu się z Garibaldim pada w forpocztowej utarczce.

Jeżeli „Na pobojowisku" ma zalety pamiętnika, jak np. dokładność i żywość przedstawienia, to ma zarazem i jego wady. Autor wyprowadza na pierwszy plan opowieści kilku ludzi, których ustawia równorzędnie, i nie grupuje ich w taki sposób, aby jeden z nich skupiał na sobie główną uwagę. Czytelnik szuka i nie może wyszukać, kto jest osią opowiadania, uwaga jego rozpierzcha się i wskutek tego losy tak nawet tragiczne, jak generała i porucznika, nie sprawiają wrażenia, jakiego są godne.

Ale za to zbiorowe losy całego oddziału obudzają najwyższe zajęcie. Zdolność dramatycznego przedstawienia, o której już mówiłem przy „Wydziedziczonych", tu jeszcze potężniej występuje. Śledzimy z wytężoną uwagą za zbiorowymi ruchami małego korpusu, obrazy podkradania się oddziału pod nieprzyjaciela, ataku, odwrotu, przeprawy przez rzekę, odmalowane są tak żywo, że długo stoją w oczach po ich odczytaniu. Na dowód tego, co mówię, oto obraz przeprawy przez rzekę. Dla objaśnienia tylko dodam, że oddział przerżnął się już był wprawdzie przez linię nieprzyjacielską, ale daleko mu jeszcze było do połączenia się z armią, a tymczasem Niemcy puścili się za nim w pogoń i tuż tuż dopędzali. Oddział dopada wioski; zmęczenie i rzeka, nie puszczają go dalej. Dwie rzeczy mogą go jeszcze uratować: most i noc. Noc jeszcze daleko, most trzeba dopiero postawić. A teraz p. Sewer:

„Pracowano we wiosce, pracowano z podwójną gorliwością i nad brzegiem rzeki, pod dowództwem sztabu, a przy dzielnej pomocy saperów. Beczki zastąpiły łyżwy; krokwie i belki — tratwy, a liny i sznury, klamry i łańcuchy. Pracowano w milczeniu bez wytchnienia, patrząc spokojnie z łakomstwem i drżeniem na przeciwległy brzeg rzeki. Już połowa mostu, już liny przeciągnięto na drugą stronę, już sapery biją pale w ziemię i przywiązują do nich powrozy. Szereg beczek stanął po jednej i po drugiej stronie, na nich belki, na belkach układają krokwie i deski... Cała ludność wioski u brzegu, dzieci krzyczą na ojców, żony na mężów: prędko, prędko. Bomby padają jedna po drugiej, wioska się pali i dach na kościółku. Wyprowadzono rannych i pierwszy wóz ambulansu stanął na niedokończonym moście, a na wozie leżał omdlały oficer, przestrzelony na wylot, obok dwóch towarzyszy".

„Wioska się pali, bomby pękają w ogniu, gdy tymczasem między okopami a wioską żołnierze śpią twardym snem. Nic ich nie budzi oprócz rozkazu... Dano rozkaz, bębny i trąbki zagrały. Słuch żołnierza, tępy na huk dział i trzask ognia, zrywa się na głos bębna i nieoprzytomniony, instynktem chwyta za karabin, przypina tornister, staje do szeregu... Dopiero w szeregu rozgląda się, przytomnieje i sądzi.

„Słońce czerwoną łuną krwawo zachodziło. Ach jakże powoli kładło się do snu. Strach i przerażenie radeby go ściągnąć i zagasić. Zagasić choćby na wieki, aby uratować życie".

Co się tyczy zewnętrznej strony wydania, to tak jednej, jak drugiej książce zarzucić trzeba brak dobrej korekty. Szczególnie znaki pisarskie są tak fantastycznie stawiane, że nieraz walczyć trzeba z nimi, chcąc się dobrać do właściwego znaczenia jakiejś myśli.

Józef Tretiak.

KORESPONDENCYE „TYGODNIA."

Kraków, 18go lutego.

Autor „Tygodnia lwowskiego" nie spodziewa się zapewne, jaki go czeka ambaras. Niżej niepodpisany postanowił przed c. k. sądami wytoczyć mu proces o *Gewerbestörung*. Do tego aktu heroicznego skłania niżej niepodpisanego nie żadna żyłka pieniacka, ale poprostu rozpacz. został bowiem ograbiony przez nadpełtwiańskiego kolegę z tych właśnie przedmiotów, któremi korespondencyę swoją ozdobić i wypełnić zamierzał. A nie były to bynajmniej przedmioty małoważne, lecz owszem fakta pierwszorzędnego znaczenia: bytność w Krakowie hr. marszałka krajowego, zwiedzanie przez niego różnych instytucyi miejskich, oraz budowli kosztem miasta wznoszonych, obiad dla niego wydany, mowy nawet miane na tym obiedzie, nie wyłączając czarno-żółtej mówki dra Zyblikiewicza, i braku czarnej obwódki w *Czasie* donoszącym o śmierci papieża, wszystko to korsarskim sposobem tygodnikarz lwowski pochłonął, wszystko to zapisanem zostało w kronikach Lwowa, a kronika krakowska musi być o to wszystko uboższą! Jak się tu nie ma krajać moje serce podwawelskie na widok takiej grabieży i czy można mi się dziwić, że się o tę krzywdę moją i grodu mojego sądownie upominać zamierzam?...

Z czego teraz zbudować gmach mojej korespondencyi? Jest tu u nas moda, że gdy kto do budowy gmachu ma belki za cienkie, to je każe obijać deskami, żeby tym sposobem dorosły do grubości, jakiej wymagają obliczenia techniczne. Otóż i mnie pozostały same cienkie belki i deski. zmuszony więc jestem trybem krakowskim kombinować jedne z drugiemi, żeby budowa wyglądała jako tako.

Najcieńszą z owych belek jest karnawał, któremu już, jak to powiadają „trzy ćwierci do śmierci," a z pozostałej czwartej ćwiartki część jeszcze obcięła żałoba po zgonie głowy kościoła. Albo pamięć moja bardzo nie dopisuje, albo w tegorocznej porze zabaw będziemy mieli już tylko dwa bale, w dwa ostatnie poniedziałki mięsopustne: bal akademicki i bal na dochód spitala dziecinnego św. Ludwika, nie ma więc nadziei, żeby się bardzo wytańczyć było można. zwłaszcza że i zabaw prywatnych w tym roku mniej niż lat poprzednich bywało.

Przyczyną tego arcyniemiłego dla wszelkich nóg stęsknionych do szybszego ruchu zjawiska jest *niedopieniężność* epidemiczna. Przepraszam za ten nowotwór językowy, ale jeżeli brak dostatecznej ilości krwi nazywa się niedokrewnością, to dzisiejsze położenie ekonomiczne słusznie niedopieniężnością nazwać się godzi.

W dawniejszych czasach, kiedy brakło pieniędzy, mógł się człowiek jeszcze jakoś ratować, ale dziś!... głowę sobie utnij lub o mur rozbij, nic nigdzie nie dostaniesz. Jest kasa oszczędności, jest towarzystwo zaliczkowe, jest kilka innych instytucyi, które pożyczają na tani procent, ale w tych instytucyach każdy przyzwoity człowiek już dawniej się zadłużył i teraz tylko kwili i narzeka, gdy mu przyjdzie płacić ratę kwartalną, albo miesięczną. Dawniej można było uciec się w ostatniej potrzebie do ludu wybranego, dzisiaj ten lud wybrany głuchy na wszelkie zaklęcia i za nic w świecie nie chce worka rozwiązać, a na nagabania i namowy odpowiada, że pomścić się musi, na potrzebującem gotówki społeczeństwie za dra Rydzowskiego, który w Sejmie i Radzie państwa przeforsował ustawę przeciwko lichwie i za Magistrat krakowski, który „poczciwemu“ Koschesowi jego zakład fanciarski przy ulicy św. Anny stanowczo zlikwidować i zamknąć nakazał.

O tym Koschesie było w ostatnich czasach kilka korespondencyi w różnych pismach, z których się pokazuje, że nie był on jeszcze najgorszym z najgorszych lichwiarzy. Brał 6% na miesiąc, gdy inni biorą po 10% miesięcznie, a niektórzy po 3% tygodniowo, o ile zatem rabuś, który zabiera zegarek i portmonetkę, lepszym jest od rabusia, który w dodatku obdziera z paltota i innej odzieży, narażając pacyenta na katar, o tyle Kosches niezawodnie lepszym był od innych należących do tego samego cechu. I tej cnoty jednakże nie można mu przyznać za jakąś moralną zasługę. Był lepszym, to jest tańszym, bo tym tylko sposobem mógł ściągnąć do siebie klientów, a odebrać ich droższym współzawodnikom, był zatem lepszym z interesu, nie z jakiegoś moralnego poczucia, i gdyby ktoś drugi założył zakład podobny, toby musiał być z interesu jeszcze lepszym od Koschesa, musiałby jeszcze bardziej stopę procentu obniżyć, gdyż inaczej nie odciągnąłby interesantów od niego i mógłby tylko operować w kółku bliższych swoich sąsiadów, coby mu naturalnie nie przynosiło wielkich zysków.

Fanty nie wykupione od takiego Koschesa, zostaną naturalnie, zapewne wkrótce po zamknięciu zakładu, przez publiczną licytacyę sprzedane. Ciekawą będzie zaprawdę statystyka tej sprzedaży, a głównie ten szczegół, ilu tam ludzi zastawiło swą ciepłą odzież, i musiało się obchodzić bez niej w porze zimowej. Pewien procent zastawiających mógł się bez niej obyć wygodnie, mając drugą odzież w zapasie, ale było wielu i takich, którzy skutkiem zapożyczenia się na zastaw pozostali niedostatecznie zabezpieczeni od zimna i narażali się na przeziębienie. Niektórym z nich mogło to ujść bezkarnie, inni zaziębili się i zachorowali, a z tych, którzy zachorowali niektórzy wyzdrowieli, pewien zaś procent wywieziono na rakowicki cmentarz. Smutnem zaprawdę, ale ciekawem byłoby, gdyby było możebne, obliczenie dokładne tej ostatniej cyfry, wyrachowanie ilu ludzi każdej zimy jeden taki zakład zabija, i w jakiej części przyczyniają się one wszystkie — nie wyłączając najfilantropijniejszych jak Bank pobożny, gdzie nie biorą wcale procentu i Kasa oszczędności, gdzie biorą tylko 12% rocznie, do zwiększenia stosunku śmiertelności Krakowa i każdego innego miasta w porze zimowej. Nie idzie zatem, żeby te instytucye były złe same przez się, nie idzie zatem, żeby miano zakazać przyjmowania w zastaw ciepłej odzieży, bo gdyby takich zakładów nie było, ci którzy zostawiają byliby zmuszeni sprzedawać, przez co znajdowaliby się w jeszcze trudniejszem położeniu, bo na sprawienie czegoś nowego więcej zawsze pieniędzy potrzeba niż na wykup rzeczy starej; rzuciliśmy tylko te kilka słów nawiasem, jako wskazówkę, w jaki sposób nędza i niedostatek zabiera swoje ofiary, w jaki sposób ściąga ten podatek krwi, który jej każde społeczeństwo płacić musi. Ażeby umrzeć z głodu, niekoniecznie potrzeba nie mieć nic w ustach przez pięć czy sześć dni, dość jest czasami nie mieć na jeden obiad, zastawić palto, aby dostać pieniędzy na pójście do restauracyi, zaziębić się nazajutrz z powodu nagłego opadnięcia termometru, popaść w chorobę i nie módz jej przetrwać. Statystyka lekarska nazwie śmierć taką śmiercią na zapalenie płuc lub inną podobną chorobę, ekonomista uznać to musi za śmierć głodową.

Odwróćmy oczy od tego smutnego przedmiotu, który nam się mimowolnie, a tak niewłaściwie w porze karnawałowej nasunął i postarajmy się czem rozerwać. Chodźmy do teatru na *„fizykalne* (sic) obrazy *świetlane* (sic) prof Edwarda Kastiana, albo na *Emilię Galotti* Lessinga w nowym przekładzie p. Wł. Sabowskiego, albo na operetkę, o której pisano że istnieć przestała, a która przecież od czasu do czasu daje się słyszeć w sali teatralnej, przejrzyjmy świeże numera pism humorystycznych i „Harapa,“ który został dwa razy za jeden numer skonfiskowanym, a w którym Rodoć został uczczony portretem, zaś dr. Zyblikiewicz za swoją czarno żółtą mówkę dostał co mu się należało, i „Dyabła“ w którym...

Otóż masz! Uciekliśmy od statystyki cmentarnej a w „Dyable“ znowu spotykamy się z cmentarzem. W liczbie innych dowcipnych artykułów tego pisemka do dowcipniejszych należy list z tamtego świata ś p. dra Dietla do p. Walerego Rzewuskiego, członka rady miejskiej. Dr. Dietl pisze, że schodząc z tego świata zapomniał zabrać z sobą pieniędzy, czego teraz szczerze żałuje, gdyż mógłby tam zapłacić za grób, w którym zwłoki jego złożono, a za który dziś ani sukcesorowie, ani ci którzy się zajmowali pogrzebem zapłacić nie chcą. O ile się dowiedzieć mogłem fakt ten jest, niestety, prawdziwy.

Widzę jednak, że już taka fatalność ściga dzisiejszą moją korespondencyę, iż ciągle zbacza na przedmioty smutne. Obawiając się jeszcze jednego takiego zboczenia, resztę zawotowanych faktów wypisuję z notatek *in crudo*. Pan Walery Rzewuski (ten sam co wyżej) wydał broszurę o zasypaniu Starej Wisły, a dr. Mieczysław Bochenek o rezultatach zeszłorocznego śledztwa w Kasie oszczędności, rozwiązali zatem w rozprawach wcale obszernych dwie ważne kwestye lokalne, przewyższył ich atoli p. Antoni Sozański, który w kilkunastu wierszowym inseracie rozciął aleksandrowym mieczem swego niezrównanego pióra gordyjski węzeł wszystkich europejskich kwestyi, proponując przyszłemu kongresowi, ażeby się zdecydował na osadzenie w Konstantynopolu jako udzielnego władcy Papieża albo... Rotszylda. Ponieważ na papieża nie zgodzi się zapewne ks. Bismark i ci wszyscy, którzy nie poważyliby się głosować inaczej od samotnika z Warzinu, nie ma więc wątpliwości, że Rotszyld przejdzie w głosowaniu, otrzyma Stambuł i tytuł sułtana, a przez wdzięczność niezawodnie zamianuje p. Sozańskiego... jakim wysokim dygnitarzem, o czem nie omieszkam wam donieść, jeżeli tylko nie uprzedzą mnie telegramy.

TEATR.

(„Malarze“, komedya w 3 aktach A. Wilbrandta przekład A. Podwyszyńskiego. „W jesieni“, komedya w 1 akcie hr. Koziebrodzkiego. „Spudłowali“, komedya w 1 akcie Kaźmierza Zalewskiego).

Komedya Wilbrandta „Malarze“ znacznie na prawiła reputacyę, jaką sobie ten autor zrobił u nas swoją niestrawną Arrią i Messaliną. „Malarze“ mieli zasłużone powodzenie, a zawdzięczają to głównie szczęśliwemu wyborowi tła, na którem komedya osnuta. Salonowe życie niemieckie jest niezgrabną kopią francuskiego, i komedye na tem tle osnute muszą na sobie nosić piętno tego niezgrabnego naśladownictwa. Przeciwnie życie burszowsko-artystyczne jest oryginalnym wyrobem niemieckich stosunków a przytem wybornie się nadaje na kanwę do komedyi. To właśnie tło obrał sobie p. Wilbrandt, jak już sam tytuł wskazuje, i rozwinął je z zamaszystym i swobodnym humorem. Wesołość, bieda i sztuka, oto trzy motywa snujące się przez całą komedyę, a stanowiące wyborny akord. Miłość gra tu rolę podrzędną, ale jej wcielenie, Eliza, jest kwiatkiem bardzo a bardzo wdzięcznym.

Eliza należy także do cechu malarskiego; uczy się ona malować zażarcie, ale jej obrazy, jej szkice służą najczęściej za przedmiot żartów dla kolegów. Eliza nie obraża się za to; dobra dziewczyna spostrzega sama, że nie ma talentu. Jeżeli co ją tak długo mogło zatrzymywać przy palecie, to zapewne tajemna miłość dla malarza Oswalda, który się bałamuci z jakąś pięknością, wyćwiczoną w sztuce kokieteryi. Na Elizę Oswald i inni malarze spoglądają jak na swego kolegę, nie jak na kobietę; suknia niezgrabna, okulary na nosie, potrzebne jej do malowania, wogóle niedbałość w stroju nie pozwala zajaśnieć naturalnym jej wdziękom. Ale raz się zdarzyło, że Elizę dla żartu przebrano w kostium jakiejś wschodniej księżniczki, i o bogi! Eliza przeobraziła się odrazu w czarującą piękność. Nowy strój zwrócił na nią bliższą uwagę kolegów; dopiero wtedy dowiedzieli się oni, jak piękną dziewczynę mieli w swojem gronie. Zachwyty i uwielbienia kolegów do płaczu i gniewu pobudzają Elizę; zrywa ona z siebie kostium, któremu wyłącznie przypisuje swoją chwilową piękność, nie chce, aby ją dla sukni wielbiono. Wrażenie jednak, które wywarła na Oswalda, nie przeszło bez śladu, zwrócił on uwagę nietylko na jej piękną powierzchowność, ale i na szlachetność jej duszy. Koniec rozumie się pomyślny: Oswald, uwolniony od zobowiązań względem kokietki, żeni się z Elizą, która jeszcze przedtem porzuciła malarstwo.

Pani Ładnowskiej w roli Elizy należą się największe pochwały. Od czasów Dory nie pamiętamy, aby w jakiej roli rozwinęła tyle swobody i naturalnego wdzięku. Nie były to już tylko jakieś pojedyńcze szczęśliwe ustępy, ale była całość wystudyowana, było ciągłe przejęcie się rolą. Z początku podobniejsza do chłopaka w spodnicy niż do dziewczyny, po metamorfozie przedstawiała prześliczny typ nieśmiałego i kochającego dziewczęcia.

Komedyjka pana Koziebrodzkiego „W jesieni“, jeszcze przed kilku laty napisana, i już nieraz gdzieindziej grywana, w tym tygodniu po raz pierwszy zjawiła się na naszej scenie. Dwóch starych kawalerów zaleca się do młodej kuzynki, którą przypadek do ich domu sprowadził, a która zupełnie o kim innym myśli. Oto sytuacya będąca treścią komedyjki. Charakterystyka życia staro kawalerskiego wcale nie zła, sytuacya z początku zajmuje, ale ciągnąc się zbyt długo, nie ożywiona żadnym nowym zwrotem, nie ożywiona iskrzącym się dyalogiem, zaczyna nudzić, nudzić i coraz gorzej nudzić. Nieszczęsny typ starej panny, zawsze jeden i ten sam, nie przyczynia się bynajmniej do ożywienia komedyi.

Autor „Marka Foscariniego“ i „Złego ziarna“ w szlachetny sposób zemścił się na publiczności lwowskiej za klęski, jakich doznał w ostatnich latach we Lwowie: napisał i przysłał komedyjkę, która żywo szą akcyi, pobieżnym ale śmiałym rysunkiem postaci, szlachetnym duchem i rembrandtowskim kolorytem swoim zjednała sobie najlepsze przyjęcie. Rzecz osnuta na tle walki patryotów niderlandzkich z Filipem II. hiszpańskim. Ziarnem intrygi jest szczęśliwa ucieczka patryoty barona Monti, którego zbiry hiszpańskie sądzą już mieć w ręku. Postać karczmarza, tchórza van der Knacka, jest wyborną, choć także, jak wszystkie inne, tylko naszkicowaną. Postacie zbirów wyglądają oryginalnie, a wiele im jeszcze oryginalności dodali trzej tacy znakomici nasi artyści, jak pp. Fiszer, Zboiński i Zamojski.

Pomysł to śmiały osnuć komedyę na posępnem tle długiej i krwawej, jakkolwiek w ostatecznym rezultacie szczęśliwej walki. Pomysł śmiały, ale ponieważ się udał, więc tej śmiałości można powinszować autorowi. Jedno tylko stanowczo razi w tej komedyi, mianowicie powieszenie owego sługi barona Montiego, który wysłany był dla ocalenia swego pana. Wprawdzie nie widzimy wcale tego sługi, ale słyszymy o nim wiele i odgrywa on, choć za kulisami, dość ważną rolę w satyrze. Otóż w tym punkcie komedya zawadza o tragedyę i potyka się, co prawda, bez wielkiego uszkodzenia.

J. T.

TYDZIEŃ LWOWSKI.

Lwów dnia 21. lutego.

Obchód żałobnego nabożeństwa za duszę Piusa IX. odbył się w zeszłą sobotę podług ułożonego przez komitet ceremoniału. Kościół katedralny od samego rana tak dalece już był zapełniony, że niemałego doznali zawodu ci, którym się zdawało, że razem z pochodem idącym od kościoła Bernardynów będą się mogli wewnątrz przecisnąć. Niestety i część wybranych musiała zostać przededrzwiami katedry i patrzeć na różne ewolucye bractw z chorągwiami, i przez grube ściany świątyni wysłuchać poważnego śpiewu Requiem Cherubiniego. Naturalnie, że w ten sam

sposób nie udało się uchwycić ani jednego słowa z pogrzebowej mowy księdza Lubomęskiego, o którą, jak zapewniają ci, co ją słyszeli, nie mogło być żadnej obawy, aby gorącością treści groziła rozsadzeniem murów kościelnych. Dopiero po godzinie 12ej, gdy nabożeństwo ukończonem zostało, wpuszczono czekające przed katedrą tłumy dla obejrzenia ustawionego na uroczystość tę katafalku. Ruszyła się gromada, pojedynczy człowiek przestał być jednostką, a zrobiwszy się atomem jednej fali, posuwany był zwolna ku prezbyteryum, w którem dopiero za kratą odzyskać mógł swoją indywidualność.

Nie macie pojęcia czytelnicy, jak to jest przyjemnie na rzecz ogółu poświęcić swoją osobę: ręce, nogi, głowa, kieszeń wasza, chustka od nosa, przestają być waszą własnością; jesteście niewolnikami prasy, która wami posuwa, zatrzymuje, ściska lub odetchnąć pozwala, słowo w słowo tak samo jak robi ze swymi czytelnikami prasa peryodyczna galicyjska... Ach prawda, jest jedna maleńka różnica między temi prasami; peryodyczna prócz tego czerni, a my wszyscy mimo przybranego w czarny kolor kościoła, wprawdzie nieco przypłaszczeni, jednak wyszliśmy z tej operacyi w swoim naturalno ludzkim kolorze.

Falując w ten sposób, o ile było można podnieść oczy do góry, patrzyliśmy na wysoki kirem obity katafalk, nawet za wysoki odpowiednio do miejsca, w którem go ustawiono. W pośrodku szlachetne oblicze dobrego papieża patrzało na ściśnięte tłumy pełnej dobroci spojrzeniem, w około las świec i zieleni, na szczycie amarantowym aksamitem obita trumna ze złoconemi godłami, a nad nią w powietrzu zawieszone coś, o którem dopiero ze sprawozdania kolegów moich dowiedziałem się, że miało być potrójną tiarą papieską. Jakże szczęśliwemi wydały nam się młode i starsze panie, tudzież młodzieńcy niedojrzałego wieku rozmieszczeni na górnych galeryach w prezbyterium, którzy mogli się do woli napatrzeć wspaniałości katafalka. Nas zwykłych dolnych śmiertelników, pilnująca porządku młodzież akademicka bez wytchnienia zapędzała do drzwi zakrystyi, zkąd już prosta droga na ulicę. Jeżeli przeto sam katafalk i całe urządzenie nie wydało się waszemu kronikarzowi takiem, jakiem rzeczywiście było, wina spada na owego młodzieńca, który znaglając mię do wyjścia, nawet się obejrzeć nie pozwolił... Słyszałem tylko, że całe nabożeństwo odbyło się nadzwyczaj uroczyście wobec reprezentacyi wszelkich władz autonomicznych i innych korporacyi, a za to bez obecności władz rządowych, które w tym wypadku widocznie nie chciały żenować narodowego obchodu przy wylaniu swych uczuć wdzięczności dla dobrego przyjaciela Polaków... Ja jednak więcej będę lojalnym względem naszego rządu, gdy w program mojej tygodniowej kroniki wprowadzę czysto wojskowy porządek, i podobnie jak orkiestra wracająca z żołnierskiego pogrzebu, odrazu rzucę się do skocznych polek i mazurów, jakiemi odznaczył się ostatni bal na dochód Harmonii. Pięćdziesiąt par stanęło odważnie do tego hasającego turnieju i bawiono się ochoczo, co jest najlepszym prognostykiem na dalsze licznie zapowiedziane zabawy w Towarzystwie muzycznem, w kasynie mieszczańskiem, w teatrze i tym podobnych miejscach... Nad kasynem jednak zawisła wielka chmura, mniejsza trochę od kwestyi wschodniej, jednak do tyla groźna z powodu zjawienia się na ostatnim balu jakiegoś nielubianego indywiduum, że nawet pisma publiczne musiały otwarcie podnieść tę okoliczność w obronie skwaszonego humoru szanownego zgromadzenia mieszczańskiego.

Komitet wystawy krajowej, nareszcie zakończył swą chwalebną i gorliwą pracę, wykazawszy 17.750 złr. zysku, którym rozporządzono w ten sposób: czternaście tysięcy oddano do dyspozycyi Sejmu krajowego z wnioskiem, aby z tej sumy utworzono fundusz stypendyjny celem wysyłania zdolnych rękodzielników dla kształcenia się za granicą. Dwa tysiące wyznaczono na 4 stypendya w celu wysłania fachowych ludzi na wystawę paryską, a gdyby tej kwoty w całości nie użyto (o co nie mamy najmniejszej obawy) także na zakupno przedmiotów dla muzeów. Resztę 1.750 złr. postanowiono oddać do dyspozycyi Towarzystwa gospodarczego z życzeniem, aby ta kwota była użytą w całości na cel rolniczy. Jednocześnie wybrano komisyę, która zajmie się wysłaniem fachowych ludzi na owę wystawę paryską... Komitet wystawy, rzeczywiście nie mógł inaczej rozdysponować owymi funduszami, szkoda tylko, że nic się nie dostało muzeom przemysłowym, na dochód których przedłużoną została na kilka dni wystawa, takeśmy przynajmniej o tem wówczas słyszeli. Teraz rzecz główna idzie o wybór tych osób fachowych, którym ma być udzielona subwencya na podróż do Paryża, a raczej o ułożenie dokładnej dla nich instrukcyi, co oni tam oglądać mają. Pamiętamy już kilka tego rodzaju ekspedycyi kosztem funduszów publicznych, pamiętamy szumne zapowiedzi, ile to kraj na tem zyska, gdy ci panowie powrócą brzemienni wiedzą nabytą w odległych stronach. Słyszeliśmy, że pojechali szczęśliwie, że zdrowia Pan Bóg im w podróży nie odmawiał, ale kiedy wrócili, i co kraj się dowiedział o ich peregrynacyi — dotąd nie wiemy. Panowie stypendyści, czyż to się godzi być tyle skromnymi i nabyte światło kosztem publicznym tak uporczywie chować pod korcem?... Dla tego mamy nadzieję, że nowy komitet wybierając aspirantów do obejrzenia wystawy paryskiej, weźmie na uwagę ewentualną ich skromność dziewiczą i tak jakoś nią pokieruje, aby i dobroduszna Galicya dowiedziała się, jak też ta wystawa w porównaniu z lwowską zeszłoroczną wyglądać będzie... I dla ciekawości prostaczków trzeba coś zrobić!

Pod wielu względami wartoby, aby Lwów czasami dowiadywał się, co też robi Warszawa dla ozdoby i pożytku miasta, ta Warszawa, nie mająca autonomicznej rady miejskiej, powstałej z wyborów. Otóż w ostatnich czasach poruszono tam dwie ważne kwestye, sprawienie publicznego termometru z barometrem, i sformowanie Towarzystwa dla ratowania tonących. O zastosowaniu pierwszego projektu dla Lwowa nie ma co marzyć. U nas każdy radny miejski już sam z siebie jest publicznym termometrem, a cała Rada w komplecie zastępuje miejski barometr daleko czulej niż wszelki merkuryusz.. Jak idzie o uczczenie różnych wielkich ludzi lub doniosłych zdarzeń w monarchii, rozpogadza się umysł szanownej Rady i znajdują się fundusze na uświetnienie wszelkich uroczystości; ale gdy idzie naprzykład o oświecenie kilku tarcz zegarowych w nocy, co już dawno mają maleńkie niemieckie miasteczka, albo o taki termometr lub barometr publiczny, lub wreszcie o dopilnowanie, aby po chodnikach można chodzić a nie brodzić — to na takie rzeczy nie ma inicyatywy. Dla tej przyczyny sądzimy, założenie Towarzystwa ratującego topielców ma wielkie u nas szanse. Raz że przybył by jeden więcej prezes, a powtóre że nie ubliżając Pełtwi, poformują się niedługo nowe rzeki na ulicach, gdzie pomoc Towarzystwa stanie się nieodzowną.

Kiedy mowa o niesieniu pomocy, pozwolimy sobie tutaj zapisać pewien czyn księcia Leona Sapiehy, który zasługuje na wysokie uznanie. Gdy doszła go wiadomość o bohaterstwie armii, idącej na oswobodzenie chrześcian pod mury Konstantynopola, i bohaterstwie wieszania nieszczęśliwych rodaków naszych dla przykładu oswobodzonym Bulgarom, napisał do swych przyjaciół w Anglii, polecając opiece Rządu angielskiego tę resztę jeszcze niewywieszaną. „Wszelkie koszta ich utrzymania przyjmuję na siebie“ — pisał książę Leon — i że dotrzyma słowa, nikt o tem nie wątpi. Za ten więc czyn pełen szlachetności, dobrego serca i prawdziwego patryotyzmu, nie tego jaki w słowach uprawiają na różny sposób wielkości galicyjskie, poważamy się złożyć dostojnemu księciu, skromne nasze podziękowanie..... A dziwna rzecz, jak o ten patryotyzm kłócą się wszystkie nasze frakcye i redakcye, wywodząc z pod samego serca potoki uczuć patryotycznych, do których zmierzenia nie posiadamy niestety żadnego dotąd instrumentu. U nas tym patryotyzmem sui generis zapełniamy wszystkie kąty piśmi eł, stawiając kwestyę na ostrzu miecza pod hasłem: „każdy kto z nami, to patryota, kto przeciw nam, to zdrajca“. I proszę was, kochani czytelnicy, jak tu się obejść bez patryoto-metru, gdy z towarzystwa naprzykład pięciu ludzi, można utworzyć kilkadziesiąt kombinacyi wprost sobie przeciwnych, w miarę tego, kto z obecnych weźmie się do liczenia patryotów i zdrajców... Pociesznie też wyglądają te rzucane z wysokości patryotycznego trojnoga bombastyczne anatema nieomylnych redaktorów, a poczciwa publiczność tylko wzrusza ramionami, chowając do kieszeni te drukowane wyroki, jak się chowają handlowe anonsy, wciskane przechodniom przez roznosicieli na ulicach. I nam w tych dniach zarzucono uroczyście, że trujemy publiczność; nie powiedzano wprawdzie czem, ale zapewne nie patryotyzmem. Cała redakcya Tygodnia, oniemiała z przestrachu dowiedziawszy się o takiej zbrodni, za którą tuż stoi szafot lub gilotyna.... Lecz przetrząsnąwszy skrupulatnie nasze sumienia i kieszenie, nie znaleźliśmy tam nic trującego i dlatego radzibyśmy usłyszeć kiedy, gdzie to nasz oskarzyciel wynalazł w piśmie naszem owe trujące substancye... Służymy sprawie powszechnej, jak umiemy, w dobrej wierze, z niezależnością przekonań, przynajmniej tak nam się zdaje, a jeżeli mimo to trujemy, to pan B., ukazując nam tę truciznę, zasłuży na prawdziwą wdzięczność.

Z dotychczasowych prac komisyi konkursowej imienia Fredry zakwalifikowaną została jedna sztuka do publicznego przedstawienia. Z innych nowości domowego wyrobu dramatycznego, komedya p. Zaleskiego „Spudłowali“ powszechnie się podobała. „W jesieni“ hr. Koziebrodzkiego byłaby dobrą, gdyby ją przedstawiono w porze roku, zastosowanej do tytułu, a nie podczas wiosny kalendarzowej. — „Pojedynek szlachetnych“ Sewera, ten pojedynek, o którym pisma warszawskie tyle nieszlachetnych odbyły między sobą pojedynków na pióra, pokaże się w tym tygodniu, jak również i dramat tegoż autora pod tytułem „Obie.“ Don Desiderio jeszcze się utrzymuje na falach kaprysu publiczności lwow-

skiej, i chyba ustąpi miejsca Dziadom Moniuszki, które nam Dyrekcya Teatrów obiecuje... Z tego niech się przekonają czytelnicy, że Lwów jest zakłopotany co robić z takiem bogactwem repertuaru scenicznego, zakłopotany daleko więcej niż mogłaby być Austrya, gdyby jej Turcya spadła w sukcesyi. Książę Bismarck bywa czasami dowcipny w swych mowach parlamentarnych i zostając z hr. Andrassym na stopie ty a ty, nie chciałby mu robić kłopotu z turecką słowiańszczyzną. Wie on z doświadczenia, jak to trudno Niemcowi przełknąć naprzykład takie małe księstwo poznańskie, więc jeżeli się już kto ma udławić Bulgarami, to lepiej niech to padnie na Gorczakowa, do którego książę Bismark, nie ma już tyle poufałości i tytułuje zawsze „Mości książę" Najgorsza sprawa, że w Baden-Baden przywracają niedawno zwinięty dom gry, gdzie w banku złożoną będzie taka Turcya, Dardanele, żegluga na Dunaju, Konstantynopol i tym podobne Wschodnie drobnostki... Dopieroż tam pójdzie gorąca poniterka, ba, ba! A los hultaj lubi czasami płatać figle, nawet grającym na pewne!...

Wiadomości z kraju i ze świata.

JUBILEUSZ J. I. KRASZEWSKIEGO.

Na medal zapisali się:

16. Wny Franciszek Rościszewski ze Smykowiec na medal srebrny 10 złr.

Na *Złote myśli* zapisali się:

16. Wny Śliwiński ze Lwowa.
17. Wny M. Bohdanowicz z Czahrowa.
18. Wny Franciszek Rościszewski ze Smykowiec.
19. Wna Joanna Rudkowska z Wiżańczy.

Literatura, sztuka i nauka.

— Adwokat Włodzimierz Spasowicz przyrzekł przybyć do Warszawy dla uczestniczenia w szeregu prelekcyi publicznych na rzecz osad rolnych.

Przedmiotem prelekcyi Spasowicza będzie krytyka estetyczna i obyczajowa utworów Wincentego Pola. Sądząc z tego, co Spasowicz wypowiedział o utworach Syrokomli, domyśleć się można że pogląd prelegenta różnić się będzie w wielu punktach od poglądu jaki sobie społeczność o utworach Pola wyrobiła.

Może zresztą się mylimy...

— Zeszyt I. *Kosmosu* czasopisma przyrodników polskich imienia Kopernika, wychodzący pod redakcyą prof. Br. Radziszewskiego zawiera: O telefonie przez prof. Józefa Soleskiego; Wapień dziurowaty przez dr. A. Mikołajczaka: Kilka słów o dyfuzyi gazów, przez dr. Z. Wróblewskiego; Studya fizykalne przez L. Birkenmajera; Kronika naukowa, przez J. Niedźwieckiego, Br. Radziszewskiego, P. Giermańskiego R. Zubera i M. Wąsowicza; Wiadomości bieżące.

— Przybyła do Warszawy panna Tomaszewiczówna która po ukończeniu kursu nauk lekarskich otrzymała dyplom doktorski. Ponieważ panna T. nie posiada patentu krajowego, więc nie ma prawa zajmować się praktyką lekarską. Chciała wszakże p. T. zostać członkiem towarzystwa lekarskiego, napisała i złożyła rozprawę, którą towarzystwo okryło wielkiemi pochwałami, lecz większością głosów na członka towarzystwa p. T. nie przyjęto. Dla jakich powodów, nie wiadomo. Ciekawem jednak jest tłumaczenie tego faktu przez *Medycynę*, którego to pisma redakcya podaje jako przyczyny nieprzyjęcia p. T. na członka towarzystwa:

1. W celu potępienia owego niedorzecznego ruchu, owego niewłaściwego kierunku, w jakim niektóre zbłąkane owieczki postępować zaczęły (tj. że chodziły na kursa lekarskie).

2. Że do posługi lekarskiej mężczyzni wystarczają.

3. Sztuka lekarska nie odpowiada ani uzdolnieniom, ani usposobieniom, ani charakterowi kobiety.

4. Z małym wyjątkiem wszystkie dzisiejsze lekarki weszły na tę drogę, nie przez zamiłowanie nauki, lub chęć poświęcenia się dla bliźnich, lecz przez jakieś awanturnicze usposobienie.

5. Dotychczasowy zakres działalności kobiecej jest obszerny i wspaniały, nowych więc dróg szukać nie potrzeba.

Zbijać zarzuty *Medycyny* uważamy za zbyteczne. Dodamy tylko, że redakcya głównego nie wypowiedziała, a tym jest: Niebezpieczeństwo konkurencyi.

— Od nowego roku wychodzi w Warszawie moskiewski dziennik pt. *Zapadnaja poczta*. Obecnie zapowiadają ukazanie się drugiego dziennika p. t. *Priwislańskij wiestnik*.

— Tom I. piętnastotomowego wydawnictwa jubileuszowego J. I. Kraszewskiego zawierający dwie powieści: *Rzym za Nerona* i *Pamiętnik Mroczka* wkrótce już wyjdzie z druku

— Kilka tysięcy egzemplarzy książeczki ludowej pt „Pogadanki o rzeczach pożytecznych", wydanej niedawno przez p. Sz. T. Włoszka, jest na wyczerpaniu.

Znać, że czytelnicy, dla których przeznaczona, chętnie po nią wyciągają rękę — i że tam zasłużone zyskała uznanie.

— Wkrótce opuści prasę dziełko medyczne dra Sypniewskiego pt. „O wpływie klimatu na choroby kobiece i o chorobach kobiecych wyłącznie grasujących we wschodniej Syberyi i w kraju Zabajkalskim".

— W tych dniach opuściła prasę praca dr. M. Malcza. pt. „Klimatologia Hyéres", jako stacyi leczniczej dla chorych".

— Tom I. „Monografii Lublina" p. Wł. K. Zielińskiego opuścił już prasę.

— Do cennego wydawnictwa „Źródeł dziejowych" przygotowuje prof. A. Pawiński „Sprawy pruskie pod względem politycznym w epoce Zygmuntowskiej", i p. Jabłonowski: „Historyę stosunków rzeczypospolitej z Wołoszczyzną".

— Przykład do naśladowania.

Pracownicy banku handlowego w Warszawie przesłali w dniu wczorajszym do redakcyi *Tygod. Illustr.* rs. 270, jako prenumeratę na wydawnictwo jubileuszowe J. I. Kraszewskiego.

Jest to zamówienie na 36 egzemplarzy.

Wiadomości ekonomiczne.

— Właściciele garbarni pod firmą Temler i Szwede rozpoczynają z wiosną r. b. na placu w Warszawie obok rogatek powązkowskich a przyległym do fabryki, budowę obszernego domu, mającego około stu dwudziestu łokci długości a przeznaczonego wyłącznie na mieszkania dla robotników fabrycznych. Wszystkie mieszkania będą o jednym wyłącznie pokoju, różniącym się tylko większymi lub mniejszymi rozmiarami, wedle których regulować się będzie wysokość komornego, obliczonego wogóle podług możliwie niskiej stopy procentu od wyłożonego na budowę domu kapitału. System mieszkań o jednym pokoju przyjęto ze względu na znakomitą oszczędność, jaką dla rodziny robotniczej przedstawia zużytkowanie jednej i tej samej ilości materyału opałowego na zgotowanie strawy i zarazem na ogrzanie pomieszkania. Kuchenki bowiem są urządzone w taki sposób, że stanowią zarazem i piece ogrzewanie jednak tych ostatnich zależnem jest od woli lokatora. Mająca się stawiać budowla obejmować będzie takich mieszkań czterdzieści — prócz tego zaś dla wygody lokatorów urządzoną zostanie wspólna pralnia zaopatrzona w ciągle doplywającą świeżą wodę. W tymże samym domu właściciele zamierzają przysposobić mieszkanie odpowiednie na ochronę, tak, że dzieci robotników w czasie nieobecności rodziców w samym domu znajdą opiekę i nadzór nad sobą. Słowem, w projektowanym budynku przewidziano wszystko i miano na uwadze wszelkie potrzeby robotnika.

— Gazety rosyjskie donoszą, że w roku bieżącym zamówiono dla rządu w fabrykach cesarstwa i królestwa wagony na sumę rs. 4.220,000. Między innemi w warszawskiej fabryce Lilpopa, Rau i Loewensteina zamówiono 500 krytych towarowych wagonów.

Wystawa paryska

— Widowiska cudzoziemskie na wystawie. Komisya sztuk pięknych i widowisk teatralnych postanowiła, że z funduszów wystawy udzielane będą wsparcia towarzystwom dramatycznym z obcych krajów, któreby przybyły w czasie wystawy do Paryża w celu przedstawień w narodowych językach arcydzieł literatury dramatycznej każdego kraju. Co do koncertów tego rodzaju wyznaczona na ten cel komisya porozumiała się już z delegatami różnych państw i między temi koncertami będą także słowiańskie. Zdaje nam się, że komedye Fredry i dramata Słowackiego, Korzeniowskiego i innych warte są przedstawienia zebranym z różnych stron ziomkom, przemawiającym językiem tych pisarzy.

ROZMAITOŚCI.

Pogrzeb białego słonia. Times of India donosi o śmierci jednego z 3 żywych bożyszcz w Siamie. Najstarszy z białych słoni urodzony w roku 1770, zakończył życie w swojej świątyni w Bang-Kok w listopadzie z. r. Wiadomo, że to sławne bóstwo, z rodzaju albinosów, przed którem cały lud czołem uderza, jest symbolem królestwa Siamu. Składają mu w hołdzie najwspanialsze podarunki, bo Indyanie przyjmują zasadę metampsychozy, wierzą silnie, że zwierzę tak wspaniałe ogromem i wyjątkową barwą, musi być mieszkaniem duszy, jeżeli nie jakiego bóstwa to przynajmniej monarchy. Każdy z tych białych słoni ma swój pałac, srebrne i złote naczynia stołowe i strój przeciążony klejnotami. Liczni mandaryni wyznaczeni są do jego obsługi i karmią go ciastkami i trzciną cukrową. Przed jednym tylko królem Siamu słoń biały zgina kolano, ale król wywzajemnia się w ten sam sposób. Zmarłemu bóstwu wyprawiono wspaniały pogrzeb. Stu przeszło kapłanów buddajskich odprawiało nabożeństwo żałobne. Trzy żywe białe słonie towarzyszyły orszakowi pogrzebowemu, przed niemi postępował oddział trębaczy, a za niemi niezliczone mnóstwo ludu, i tak pochód udał się aż nad brzeg rzeki Menam, gdzie król z wielkimi dygnitarzami oczekiwał na zwłoki nieboszczyka, które następnie zostały przewiezione na drugi brzeg i tam pogrzebane. Trzydzieści statków strojnych w chorągwie i różnobarwne latarnie towarzyszyło uroczystej przeprawie. Wszystkie pływające domy, których jest przeszło 60.000 po obu brzegach rzeki Menam, były także strojne we flagi i różnorodne emblematy symboliczne.

Ostatnimi dniami jeden z sądów gminnych w gubernii siedleckiej skazał córkę pewnego włościanina na zamknięcie w gminnym areszcie na dni dziesięć.

Gdy wyrok ten został wykonany, na drugi dzień zamknięcia, ojciec skazanej podał do zarządu gminnego prośbę, w której między innemi mówi: „że ponieważ sąd skazał córkę jego na dziesięć *dni* aresztu, a tymczasem wójt gminy trzyma ją także w zamknięciu i *w nocy*, więc uważa on za właściwe prosić sąd, ażeby nadużycie to władzy administracyjnej zostało usunięte i wyrok był wypełniony *dosłownie*."

Sąd gminny, wziąwszy na uwagę fakta przytoczone w prośbie, oraz okoliczność, że ojciec skazanej mieszka w tej samej wsi, polecił wójtowi trzymać włościankę w areszcie tylko w ciągu *dnia*, na *noc* zaś oddawać ją ojcu...

Fakt ten powtarzamy na wiarę słów korespondenta jednej z petersburskich gazet.

— Adwokat w... spodnicy!

W tych dniach przed kratkami wydziału cywilnego kieleckiego sądu okręgowego pani *** osobiście broniła swej sprawy.

Starcie się jej z obrońcą strony przeciwnej, adwokatem K. miało być bardzo interesujące

W konkluzyi, sąd wywody pani *** podzielił i wydał wyrok na jej korzyść.

— „New York Herold" ogłasza, iż w Stanach Zjednoczonych północnej Ameryki istnieje ośm fabryk, w których codziennie wyrabia się 47,000.000 igieł. Oprócz tego dowożą do Ameryki corocznie więcej jak dziesięć milionów. W średniem przecięciu zużywa się tam, a raczej łamie się dziennie 72,000.000 igieł, czyli 50.000 na minutę.

— Szczątki zwierząt przedpotopowych. „Czas" donosi: Już od kilku lat p. Jan Zawisza zajmuje się gorliwie poszukiwaniami w jaskiniach nad Prądnikiem. Rezultat poszukiwań w jaskini Mamuta w r.

1877 można nazwać bardzo pomyślnym. P. Zawisza dopiero teraz wynalazł tu zęby i kości nosorożca (Rhinoceros tichorinos), zwykłego towarzysza Mamuta w epoce czwartorzędnej. Szczególnie cenione przez znawców są amulety w kształcie serca z kości Mamuta i kość żebra tegoż zwierza 46 ctm. długa, z wyrobioną w jednym końcu rękojeścią, — kość, która przez tryglodytów naszych za broń lub za trofeum myśliwskie używaną być mogła. Odkrył też p. Z. odłam żebra reniferowego, na którym znajduje się rysunek, wprawdzie nie bardzo wyraźny, prawdopodobnie jednak ręką ludzką zdziałany. Rysunek ten zdaje się przedstawiać rybę. Na nieszczęście żebro to bardzo jest uszkodzone. Opis tych poszukiwań z r. 1877 umieszczonym będzie w Wiad. archeolog., wychodzących w Warszawie i w Pamiętnikach tow. antropolog. paryskiego. Cały zaś zbiór przedmiotów, znalezionych w jaskini Mamuta, odesłanym już został do Paryża na tegoroczną wystawę powszechną.

— W Człuchowie ułowili rybacy w tamtejszym jeziorze szczupaka niewidzianej wielkości, gdyż ważył 32 fnt.

— Łabędzi puszek i zajęcza nóżka. Dotychczas piękne nasze panie, panny, a nawet, Panie! odpuść, babcie, pudrowały buzie swoje za pomocą przyrządu złożonego z kosteczki białej, na której w osłonce z barwnej materyi jedwabnej osadzony był puszek łabędzi...

Obecnie cywilizacya i na tem polu zaprowadziła reformę; puszek łabędzi jest już anachronizmem. Zastępuje go... noga zajęcza (czysto umyta ma się rozumieć) osadzona na eleganckim trzonku z kości słoniowej. Instrument ten jest daleko trwalszy i praktyczniejszy, lepiej rozciera puder na obliczu niewieściem, a zużyty i zniszczony, może jeszcze służyć za narzędzie do zmiatania kurzu z tualety!

O zającu! co przyczajony w zmarzłej podorywce marzysz o świeżej kapuście i o kusej twojej połowicy, czy myślisz o tem, że twe szybkie skoki dotykać będą buzi gładkiej, i przebiegać po jagodach rumianych jak poziomki leśne?!...

PO POLOWANIU.

— Jakież trofea, przyjacielu?

— Nie pytaj.

— Dla czego?

— Palnąłem do lisa i zabiłem psiaka najlepszego.

— Nie martw się, ja przeszłego roku strzelałem do dzika i zraniłem babę, co mech zbierała. Co chcesz, chłop strzela a Pan Bóg kule nosi.

Epizod z r. 1863.

Wyjątek z Blue-booku angielskiego nr. 54.

PUŁKOWNIK STANTON DO HR. RUSSELA.

Warszawa 23 lutego 1863 r.

Liczne opisy przedstawiają nam nadużycia i okrucieństwa wojsk rossyjskich, zajętych uśmierzeniem powstania w królestwie; ponieważ trudno jest skontatować prawdziwość faktów, wśród obiegających a zwykle przesadzonych doniesień, uważam za obowiązek przesłać Waszej Ekscelencyi kopię dokumentu otrzymanego z pewnego źródła, tyczącą się napaści oddziału wojsk na mieszkanie hr. Poletyłły członka rady stanu, położonej w gubernii Lubelskiej. Z raportu tego wypada, że chociaż nie stawiono wojskom najmniejszego oporu, pałac był wzięty szturmem a z mieszkańcami obchodzono się w sposób najbardziej barbarzyński.

Muszę się wytłumaczyć przed Waszą Ekscelencyą, że posyłam tak bezładny dokument; lecz zdawało mi się, że lepiej go pozostawić w formie, w której został wydany. Pozwalam sobie także donieść, że doniesiono o tym fakcie wielkiemu księciu, i jego Cesarska wysokość zarządził śledztwo w tej sprawie, którego rezultat nie był publikowanym. Lecz dowiedziałem się ze źródła oficyalnego, że raport wojskowy nie zaprzecza wcale istnieniu popełnionych nadużyć; na usprawiedliwienie jednak podaje, że strzelano do wojsk z pałacu i z sąsiedniej karczmy. Czy to twierdzenie jest dokładnem, czy też nie, w każdym jednak razie zdaje się, że ostatecznie oficerowie, którzy dowodzili wojskami, nie usiłowali wcale przeszkodzić nadużyciom popełnianym przez nie w mieszkaniu członka rządu.

Muszę także zrobić wzmiankę, że opowiadają według szanownych świadectw, że dobra hr. Konstantego Zamojskiego były przedmiotem wielkich gwałtów ze strony wojsk; pomiędzy innemi ważnemi stratami przytaczają zbiór papierów familijnych i dokumentów z wielkiej liczby lat, które zostały spalone, a jednak nigdy tam żadnego powstańca nie było.

Wiele innych wypadków rabunku i pożaru przypisują wojskom, lecz nadużyłbym cierpliwości Waszej Ekscelencyi przytaczając opisy szczegółowe. Nie słyszałem nigdy o nadużyciach popełnianych przez powstańców. Biorą tylko broń, pożywienie i konie w miarę potrzeby.

OPIS NAPADU NA ZAMEK HR. POLITYŁŁY.

Hr. Leopold Polityłło, członek rady stanu, odwiózłszy swoją żonę na kuracyą do Nicei, powrócił do swych dóbr Wojsławic w gubernii Lubelskiej wraz z dwoma synkami i postanowił oczekiwać spokojnie na przygotowujące się wypadki. Powstanie wybuchło, lecz on trwał zawsze w śmiało wypowiadanej zasadzie, że ruch ten może sprowadzić tylko większy ucisk i klęski. Nikt z jego dworu nie przyłączył się do powstania, i na jego terytoryum nie było ani walk ani zebrań.

Dwunastego lutego zebrali się u niego na uroczystość urodzin starszego synka, mającego lat pięć, jego szwagier, pan Tytus Wojciechowski, były pułkownik grenadyerów gwardyi polskiej Dunin, i były major tejże armii Kunn. Rozmowa toczyła się przy kawie i cygarach o wypadkach dziennych, gdy nagle o pół do czwartej po południu, rządca dóbr Sułkowski, przybiegł oznajmić, że oddział wojsk złożony z trzech kompanii piechoty, szwadronu ułanów, dwóch armat i pewnej liczby kozaków, zrobił rewizyę w zamku Bakołupy, należącym do hr. Aurelego Polityłły, i że oddział ten jest już o pół godziny drogi od Bolesławic, zaczęto się naradzać co uczynić.

Byłoby łatwo uniknąć spotkania, pozostało bowiem dosyć czasu do ucieczki, lecz dwaj starzy wojskowi zdecydowali, że można spokojnie wyczekiwać, ponieważ były to wojska regularne, dowodzone przez oficerów oświeconych, którzy odbywszy rewizyą a nie znalazłszy nic, opuszczą zamek. Rozprawiano nad tem, gdy zdala usłyszano strzały karabinowe i dwa armatnie pochodzące z miasteczka Wojsławic, odległego o ćwierć mili od zamku. Strzały te zabiły czterech ludzi niewinnych a kilku innych raniły. Wówczas to rozpoznano z okien zamku kilku kozaków galopujących w kierunku Uhair (?); wkrótce potem zobaczono tyralierów rozwijających się w pochodzie na zamek, kule poczęły świstać i tłuc szyby, reszta piechoty otoczyła zamek, armaty ustawiono o sto pięćdziesiąt kroków przy oficerach, podczas gdy piechota zbliżyła się do zamku, tłukąc szyby kolbami karabinów. Hrabia Polityłło chciał trzykrotnie wyjść naprzeciw wojsk, ażeby rozmówić się z dowódzcą i uchronić mieszkańców i gości zamku od groźnego niebezpieczeństwa, lecz zatrzymywał go zawsze szwagier uwagą, że nie ma z kim mówić, ponieważ żaden, nawet niższy oficer, nie pokazał się bliżej. Wówczas to rozpoczął się najazd straszliwy, o którym trudno mówić bez poczucia zgrozy. Żołnierze wytłukłszy szyby, strzelali pod samym domem, nie ranili jednak nikogo; lecz kiedy weszli do przedsionka i rozpoczęli zakłuwać służbę bagnetami i bić kolbami, hr. Polityłło widząc, że chwile jego są policzone, postanowił umrzeć wraz dziećmi. Zebrał synów, panią Dunin, ciotkę i trzy służące i upadłszy na kolana, wszyscy poczęli się modlić. Ocaleli jak gdyby cudem, chociaż drzwi od pokoju były tylko przymknięte, a ze wszystkich stron padały w nie strzały. Około szóstej wieczorem ogień ustał; hrabia opuściwszy schronienie dowiedział się, że pan Wojciechowski i syn jego Józef ukryli się w gabinecie hrabiego, gdy rozpoczęto strzelać do zamku.

Kula jednak, wpadłszy przez okno, dosięgła Józefa, dwudziesto czteroletniego młodzieńca świetnych nadziei, i kontuzyonowała jego ojca. Major Kunn i pułkownik Dunin oczekiwali najeźdźców w osobnych pokojach. Pierwszy z nich napadnięty został przez tłum żołdaków, dwie kule urwały mu po jednym palcu z każdej ręki, otrzymał nadto kilka pchnięć bagnetem w piersi i mnóstwo ciosów kolbami po całem ciele. Zwycięzkie wojska porwały jeńca i zaprowadziły go przed oficera, który na żądanie rannego, ażeby mu rany opatrzono, ponieważ silnie krwią broczył, odpowiedział, że wprawdzie mają lekarzy i opatrunki, ale dla żołnierzy, nie dla buntowników i potwierdził swe słowa, uderzając go szablą po grzbiecie.

Pułkownik Dunin, starzec siedmdziesięcioletni, skrzyżowawszy ręce, siedział na kanapie w salonie, oczekując napaści. Gdy się drzwi otworzyły, naraz pięć luf skierowało się ku niemu. Jedna kula raniła go w głowę, dwie przeszły przez szyję, dwie utknęły w szczęce. Wówczas żołnierze rzucili się na niego i ranili go jeszcze w rękę, którą odpychał bagnety. Powoływanie się na starość i dawną służbę wojskową, ażeby go oszczędzano, wywołało tylko nowe zniewagi i uderzenia kolbami. Gdy go osłabionego krwi upływem stawiono przed majorem oddziału i gdy mu pułkownik Dunin przedstawiał, że hańbą jest dla żołnierza napadać bezbronnych, major odpowiedział mu, że kazał atakować zamek dla tego, ponieważ z jego okien padło ze sto strzałów na wojsko. „Bezwstydne kłamstwo! — zawołał Dunin — jestem b. pułkownikiem gwardyi grenadyerów, adjutantem jenerała dywizyi Żymirskiego, mam krzyże za służbę i przysięgam panu na mój honor wojskowy, na moje siwe włosy, że od początku wypadków, ani jeden powstaniec nie znajdował się w zamku i nie było w nim ani jednej sztuki broni, ani jednego rewolweru lub szabli. Z resztą zróbcie rewizyą i jeśli cokolwiek znajdziecie możecie mię rozstrzelać“. Na to major: „Co mi pan tam będziesz prawił, kiedy ja sam widziałem na podwórzu jakiegoś człowieka, który strzelał do mnie na dwadzieścia kroków“.

— I pan śmiesz tak kłamać? — odrzekł Dunin. — Jakiż z pana dowódzca, jeśliś nie kazał schwytać człowieka na podwórzu zajętem przez żołnierzy.

Major spostrzegł, że popełnił niezgrabne kłamstwo, umilkł i dał rozkaz zaprzestania ognia. A więc nie był to napad rozbestwionej tłuszczy, lecz gwałt popełniony z rozkazu.

Major wezwał wójta i powierzył mu nadzor nad rannymi, żołnierzy pochwalił za bohaterską postawę, sam zaś pojechał na obiad do miejscowości o ćwierć mili odległej, a nazajutrz powrócił ze zwycięzkiej wyprawy do Krasnegostawu.

Było sześciu poległych, czterech na wsi, czterech we wsi Wojsławice, a dwóch na zamku: p. Wojciechowski i jeden ze służących; oprócz tego raniono lub potłuczono dziewięciu, którzy przez jedenaście godzin pozostali bez opatrzenia.

Dom był zupełnie zniszczony, na par[illegible] czono wszystko; meble, lustra, porcelany, [illegible] w kawałki; bieliznę wrzucano do ognia. Skradzio[illegible] lejnoty hrabiny, z kieszeni pułkownika Dunina 12.000 [illegible] ano pokojówce jej własne oszczędności 3.000 zł. [illegible] trolorowi Grochowskiemu 12.000 zł., które stanowiły cały jego majątek, przez długoletnią pracę zebrany.

Nie jest mi jeszcze wiadomem nazwisko owego majora, który dowodził kampanią, lecz mogę przytoczyć pułkownika Baumgärtnera, wojennego naczelnika w powiecie Krasnostawskim, który mając atakować oddział powstańców z dwóch tysięcy ludzi, o cztery mile od tego miejsca w Dubience, poprzestał na wysłaniu ruchomej kolumny do Wojsławic, ażeby zamordować radcę stanu i jego gości, ludzi niewinnych i bezbronnych.

Treść Nr. 26.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego.) Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą Józef A. L. Laskownicki.